

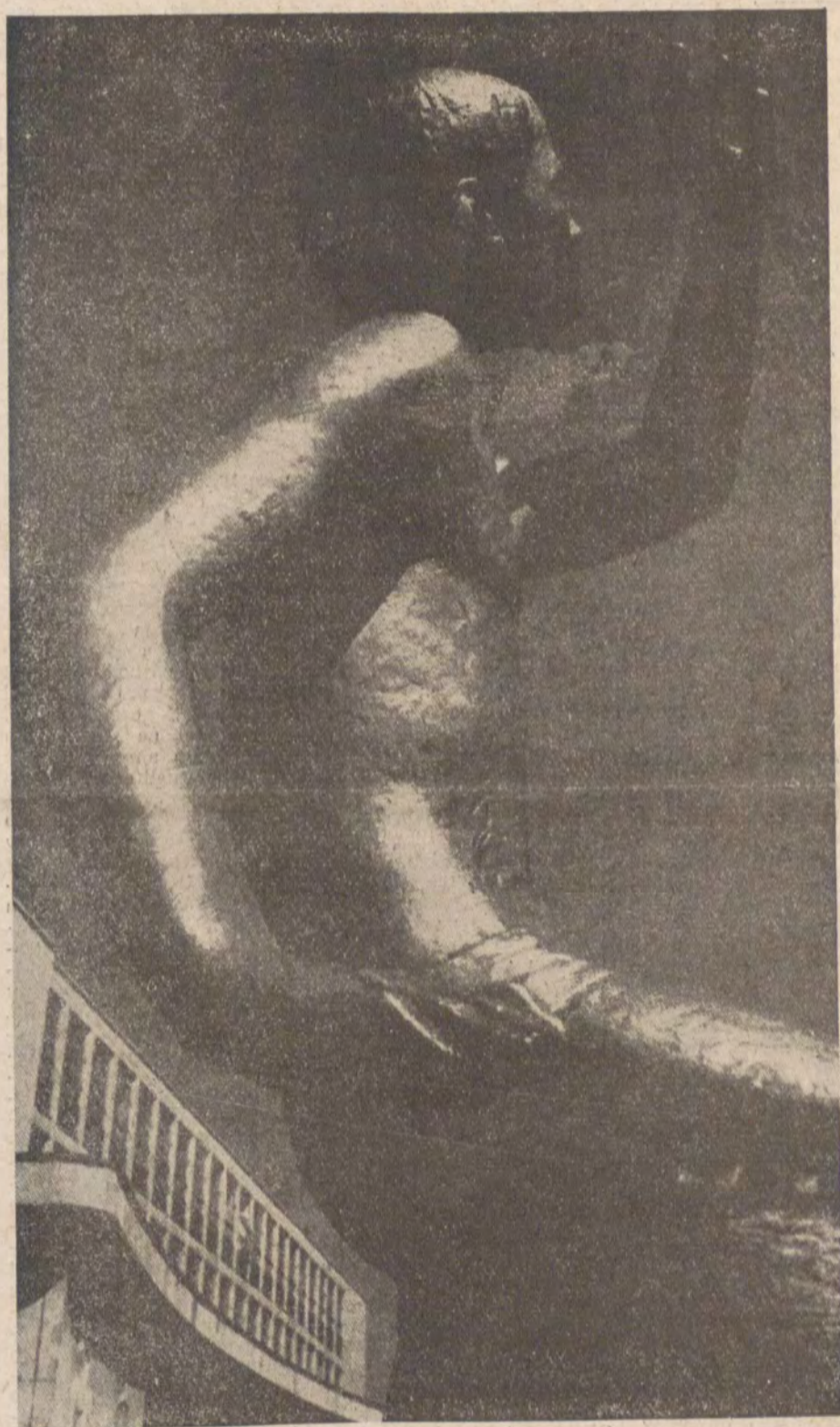
W numerze: FELIKS BĄBOL *Murarskie poniedziałki* • TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI *Przybysz z Arkadii* • ANDRZEJ GRUN *Martwa rzeka* • Bemole można policzyć • Recenzje • Zawszqd o wszystkim • Nowela kryminalna

O d g ł o s y



38 (722)
19. IX. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. G. Gyoerffy

W PRZEDZJAZDOWEJ DYSKUSJI

W tych dniach ogłoszono Wytyczne KC PZPR na VI Zjazd partii – „O dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Dokument ten powinien stać się przedmiotem wnikliwej i twórczej debaty w szerokich kręgach społeczeństwa. „Odgłosy” zwróciły się do przedstawicieli świata kultury i sztuki w Łodzi, z prośbą o krótką wypowiedź na temat:

„CO W ZWIĄZKU Z OGŁOSZONYMI WYTYCZNYMI KC PZPR W SPRAWIE ROZWOJU PRL UWAŻA PAN ZA NAJISTOTNIEJSZE W DZIEDZINIE, KTÓRĄ PAN REPREZENTUJE?”

WOJCIECH DRYGAS

**PREZES ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU
STOWARZYSZENIA
DZIENNIKARZY POLSKICH**

Dla naszego dziennikarskiego środowiska kwestie najistotniejsze – to rzetelność w poznawaniu spraw, które poruszamy, zrywanie z utartymi schematami. A także większe niż dotąd związanie z Czytelnikiem, głównie poprzez pisanie o najżywotniejszych sprawach, obchodzących społeczeństwo. Jak wiadomo, dziennikarze byli niejako prekursorami odnowy – dawali niejednokrotnie wyraz potrzebie zmian. Życie poszło dalej – zasadnicze zmiany stały się faktem i obecnie odczuwamy potrzebę nowych form, przelamywania schematów...

Wiemy bowiem z badań socjologicznych, że czytelnik prasy odczuwa obecnie niedosyt przy lekturze gazet. Czytelnik żąda od nas głównie komentarza, chce znać zdanie, opinię – taki komentarz muszą dawać dziennikarze, którzy – jak to zostało mocno podkreślone, są działaczami, pracownikami aparatu politycznego.

W toczącej się obecnie dyskusji nad Wytycznymi przed VI Zjazdem PZPR rola dziennikarzy nie polega wyłącznie na przekazywaniu toku owej dyskusji, informowaniu o niej. Dyskusja toczy się bowiem także w naszym środowisku, także dziennikarze są czynnymi jej uczestnikami, jako ludzie pióra i działacze partyjni.

Dalszy ciąg na str. 3

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Nad Niemnem, Szczarą, Wilią i Dnieprem

Z wakacyjnego notatnika

To były chyba wakacje stulecia. Z wielu względów. Wyjeżdżałem z Polski, odzianej w odświętne szaty – w dniu 22 lipca. Słońce, upał, bezchmurne niebo. I taka była już pogoda przez cały miesiąc, bez kropli deszczu, bez strzępka obłoku i na Białorusi, i na Litwie, i na Ukrainie. A jak slyszalem – również i w Polsce. Jazda pociągiem z Warszawy do Grodna trwała zaledwie kilka godzin. Krócej, niż do Krakowa, Wrocławia czy Gdańska. Stąd i brutalna, komiczna demaskacja zmyłki psychologicznej, owego nastawienia się, szykowania na podróż „za granicę”.

Grodno zaskakuje swą innością i swoistym wdziękiem niezbyt wielkiego miasta. Niemen niezbyt tu ładny i szeroki, szary i oswojony miastem, rozdziela je na dwie części. Jedną z nich, tą starą i śródmięjską, w wielu fragmentach przypomina Grodno sprzed wojny. Niewysokie domy i domki w piaskowoszałym kolorycie, trochę nowoczesnych gmachów i magazynów, ulice osadzone drzewami, pomnik Orzeszkowej, domek w którym mieszkała (dziś mieści się tu skromne muzeum pamiątek,

związanych z życiem i twórczością autorki *Nad Niemnem* oraz skromna siedziba oddziału Związku Pisarzy i biblioteka). Vis a vis parku z rojnym od dzieci placem uciech: karuzele, diabelskie koła, samochodziki. Obok muszla koncertowa, parkiet, melodie z głośnika – często-gęsto piosenki polskich zespołów „Czerwone gitary”, „Skaldowie”, „Trubadurzy”...

Druga część miasta, po tamtej stronie Niemna, to duża, rozległa dzielnica, która wyrosła już po wojnie. Skupiska nowych bloków mieszkalnych, szerokie ulice, mniej zadrzewione, ot, podobnie jak u nas w rozrastających się miastach. Nie mam zamiaru pisać przewodnika dla turystów. Pomijam więc wiele ciekawostek historycznych, czy współczesnych tego wojewódzkiego miasta. Trzeba wszak wiedzieć polskiemu turystyce, że w wysoko, tuż nad Niemnem wzniesionym zamku króla Batorego mieści się dziś interesujące muzeum regionalne pełne poloniców, z częścią archeologiczno-historyczną, bogatym działem fauny i flory, ciekawym działem sztuki regionalnej. Tak liczni dziś miłośnicy „staroci” znajdują tu pięk-

ne przedmioty z wnętrz dworców szlacheckich: świeczniki, kandelabry, pasy słuckie, broń, tabakiery, konterfekty Kościuszki, miniatury, porcelanę itp.

Wśród kilku świątyń (kościółów i cerkwi) – o jednej choć kilka słów, jako że za dwa miesiące zwiąże się ona z zapowiedzianą beatyfikacją męczennika z Oświęcimia. Tu w Grodnie, przy kościele pobernardyńskim, działał przez dwa lata o. Maksymilian Kolbe.

Choć czas urlopowy i szatańskie upały, zastalem przecież i złożyłem wizytę dwojemu pisarzom: Aliaksiejowi Karpiukowi i Danucie Biczul-Zahmetawej. A. Karpiuk, to autor m. in. wielokrotnie wznawianej i tłumaczonej (szkoda, że nie na polski) *Puszcząńskiej Odyssei* i *Danuty* oraz zapowiadanej obszernie w telewizji nowej powieści, tkwiącej tematem w dwudziestolecie międzywojennym. Warto byłoby zainteresować wydawców polskich jego powieściami. Szczególnie, moim zdaniem, zaleca się dla polskich czytelników.

Dalszy ciąg na str. 5

Z kraju

Wznówione po wieloletniej przerwie spotkanie członków Sekretariatu KC PZPR z I sekretarzami Komitetów Powiatowych, Dzielnicowych i Zakładowych z największych naszych fabryk, w którym brali udział również I sekretarze KW — można w zasadzie uznać za oficjalne zapoczątkowanie kampanii przedjazdowej. Referat Edwarda Gierka (z jego treścią zapoznali czytelników radio, telewizja i prasa codzienna) stał się podstawą interesującej, otwartej dyskusji. Zgłosiło się do niej wielokrotnie więcej osób, niż ze względów technicznych mogło zabraknąć głos. Ale niemal wszyscy swoje uwagi i spostrzeżenia przekazali do protokołu. Zostaną więc w pełni wykorzystane.

Co wykazała ta żywa wymiana poglądów?

Partia przedstawiła społeczeństwu program społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju. Skonstruowano go tak, aby w miarę naszych możliwości, jak najpełniej zaspokajane były materialne i kulturalne potrzeby ludzi pracy. Centralną sprawą stanowi więc człowiek — jego warunki życia i jego osobiste aspiracje. Wszystkie inne zadania podporządkowane zostały temu nadrzeczemu celowi. Partia z żelazną konsekwencją podtrzy-

muje zatem i rozwija zadania, wyznaczone przez VII i VIII plenarne posiedzenia KC. Zresztą zaprezentowany w przedjazdowych wytycznych program ma swe wsparcie w 9-miesięcznej praktyce.

O wcieleniu w życie przedstawionych zamierzeń decydować będzie całe społeczeństwo. To zaś wymaga zapalenia przysłowiowego zielonego światła dla wszystkich uzasadnionych inicjatyw społecznych. Było i jest ich niemało. Mówili o tym sekretarze Komitetów Powiatowych i Dzielnicowych (także z Łodzi i województwa łódzkiego), przytaczając wiele przykładów gospodarskiego rozwiązywania nabrających latami problemów. Ale mówili również o tym, co inicjatywy te gasi i zniechęca do wspólnego działania. Zastanawiali się, jak szybko i skutecznie usunąć te przeszkody. I to był pierwszy wątek dyskusji. Drugi — dotyczył bezpośredniego stylu i metod partyjnego działania. Mieszkańcy miast i wsi patrzą często na partię i władzę ludową przez pryzmat pracy najbliższych im ogniw partyjnych i administracyjnych. I wcale nierzadko dostrzegają różnicę między tym, co głoszą władze centralne i swymi decyzjami wprowadzają w życie, a praktyką wspomnianych ogniw. Dzieje się tak dlatego, gdyż w mechanizmie działania pozostało jeszcze wiele szablonoń, utartych dróg postępowania. Dyskutowano o tym z troską, podkreślając konieczność uczenia się nowych form pracy.

Narada, jak powiedział na jej zakończenie Edward Gierek, była dobrym początkiem przedjazdowej dyskusji. I sekretarz KC wy-

raził przekonanie, że tej ostatniej towarzyszyć będzie wszechstronne działanie całej partii, wszystkich jej instancji. I że będzie to działanie wyzwalające energię i inicjatywę ludzi pracy, ujawniające rezerwy materialne, organizacyjne i moralno-polityczne. W dyskusji nad programem rozwoju Polski od wszystkich bowiem oczekuje się spełnienia obywatelskiego obowiązku — dobrej pracy i pomyślności.

Ich przejawem jest rozwijający się Czyn Zjazdowy. Z pierwszych meldunków wynika, jak wiele mamy jeszcze niewykorzystanych możliwości. Zresztą — nie tylko w tej dziedzinie.

Ze świata

Jeszcze nie zeszyły z lamów prasy komentarze na temat berlińskiego porozumienia czterech wielkich mocarstw, a już uwagę obserwatorów politycznych przykuła zapowiedź wizyty w Związku Radzieckim kanclerza Brandta. W ślad za nim udać ma się do Moskwy minister Spraw Zagranicznych — Scheel. W Bonn podano ponadto do wiadomości, że także przewodca frakcji parlamentarnej CDU/CSU — Barzel przyjął radzieckie zaproszenie, skierowane pod jego adresem w lipcu. Zapowiedź podróży Brandta

przypomniała komentatorom, że w trakcie podpisywania układu ZSRR — NRF w sierpniu ub. roku obie strony wyraziły gotowość kontynuowania rozmów o dalszej normalizacji wzajemnych stosunków. Teraz, kiedy podpisane zostało ramowe porozumienie na temat Berlina i toczą się rozmowy przedstawicieli obu państw niemieckich, uznano, że powstały warunki do nawiązania dialogu. Zdaniem rzecznika rządu NRF, tematem nr 1, najbliższych rozmów będzie kwestia współpracy państw europejskich w związku z inicjatywą krajów socjalistycznych zwolania konferencji ogólnoeuropejskiej. Drugim tematem mają być stosunki dwustronne, a w tym układ handlowy i porozumienia o komunikacji lotniczej. Sam kanclerz na konferencji prasowej potwierdził, iż po spotkaniu z przywódcami radzieckimi może dojść do kilku konkretnych porozumień. „Jeśli czterem mocarstwom — powiedziało — udało się uzgodnić swe punkty widzenia na tak trudną sprawę, jaką jest problem Berlina, to można mieć usprawiedliwione nadzieje na osiągnięcie postępu w innych problemach, wymagających rozwiązania w stosunkach Wschód — Zachód”.

Jednym z ważnych dla Europy problemów jest właściwe ukształtowanie stosunków między NRD i NRF. Temu wychodzi naprzeciw nowa inicjatywa rządu Finlandii. Ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, że rząd ten wszedł w kontakt z NRD i z NRF w celu nawiązania stosunków z obu państwami niemieckimi. Decyzję tę powzięto „w związku z zapoczątk-

owaną ostatnio w polityce europejskiej pozytywną tendencją w kierunku rozładowania napięcia i nowych trwałych rozwiązań problemów Europy”. Inicjatywa fińska nabiera szczególnego znaczenia, jeśli przypominamy rolę, jaką kraj ten odgrywa w torowaniu drogi europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy.

Jesień w polityce światowej zapowiada się niezwykle ciekawie. W najbliższym czasie dojdzie najprawdopodobniej do wielu interesujących wizyt i rozmów. Do takich zaliczyć można zapowiedzianą już wizytę przywódców radzieckich we Francji i oczekiwaną w Jugosławii, podróże radzieckiego premiera do Kanady i Algierii, a nieco później także do Danii i Norwegii. Dużą wagę przywiązuje się ponadto do wizyty przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w Wietnamie.

Tradycyjnie rozpoczynającą się we wrześniu sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ może stać się okazją do spotkania niektórych czołowych mężów stanu. To przypuszczenie wiąże się m. in. z radziecką propozycją przedyskutowania możliwości zwolania światowej konferencji na rzecz rozbrojenia.

Przewiduje się, że także jesienią dojdzie do wizyty Nixona w Pekinie oraz wielu spotkań prezydenta USA z europejskimi sojusznikami Stanów Zjednoczonych.

Tak więc najbliższe miesiące miną pod znakiem bezpośredniej dyplomacji — krzyżujących się spotkań i rozmów.

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Opiumowa wojna

„RAMPARTS” — SAN FRANCISCO

Dokończenie z poprzedniego numeru

Niedawno w tygodniku „Far Eastern Economic Review”, wychodzącym w Hongkongu, ukazała się informacja Carla Stocka, w której czytamy: „Ośmiu dziennikarzy, a w tej liczbie i ja, dostało się na teren Longzen, 130 km od Vientiane. Widzieliśmy tam, jak na samoloty bombardujące „T-28”, pilotowane przez amerykańskich lotników, ładowano opium, widzieliśmy uzbrojonych agentów CIA, gawędzących z syjamskimi żołnierzami, a obok skrzynki z surowcem opium. Longzen jest tak zakomspirowany, iż w ubiegłym roku nie wpuszczono tutaj nawet attache prasowego ambasady USA w Vientiane oraz przedstawiciela amerykańskiego urzędu pomocy dla zagranicy. CIA nie tylko otacza opieką handel opium w Longzen, ale także czuwa nad bezpieczeństwem powietrznego transportu narkotyków”.

W pewnym okresie czasu, w handlu opium pośredniczyli głównie członkowie korsykańskiej mafii. W tej części świata, gdzie największą trudność stanowi transport nielegalnego towaru, Korsykańczycy odegrali wiodącą rolę dzięki swoim samolotom-staruszkom, pamiętającym czasy II wojny światowej. Ale po roku 1963, w miarę, jak wojna domowa w Laosie przybierała na sile, korsykańska „motylowa flota” musiała się stopniowo wycofywać z gry, aż któregoś dnia górale Meo pozostali bez środków transportu opium. Wytworzoną próżnię wypełnili natychmiast królewskie wojskowe siły powietrzne Laosu, które dostarczane im przez Stany Zjednoczone śmigłowce i samoloty użyły nie tylko do walki przeciwko partyzantom, ale również do przemytu narkoty-

ków. Taką współpracę Vientiane i Waszyngtonu dyktowały względy natury politycznej. Po rozpadzie laotańskiego rządu koalicyjnego, wojna domowa w tym kraju rozgorzała z nową siłą. USA liczyły, iż dzięki wznowieniu transportu opium górale, wyszkoleni i uzbrojeni przez CIA, chętniej wezmą udział w operacjach wojennych przeciwko oddziałom Patet Lao. Opium okazało się ekonomiczną bazą, która cementowała tę współpracę bardziej skutecznie, niż antykomunistyczna ideologia.

Longzen stał się z czasem głównym punktem przerzutowym przemytu opium w Laosie. Pupil CIA — gen. Wang Pao — niedługo oficer francuskich wojsk kolonialnych, a obecnie dowódca „tajnej armii” górali Meo — używa do transportu opium do Longzen śmigłowców i samolotów, dostarczanych przez Stany Zjednoczone. Część opium magazynowanego w Longzen, przewozi się samolotami królewskich sił zbrojnych do Vientiane.

Tam nabywają je chińscy kupcy i z kolei przetrzucają opium do Sajgonu lub do określonych miejscowości na wybrzeżu morskim. Część narkotyków szmugluje się do południowego Wietnamu, wprost z Longzen. Gen. Wang Pao korzysta również z usług kompanii lotniczej „Sienkung Airways”, będącej na usługach CIA. W bieżącym roku handel opium w Laosie osiągnął niebywale rozmach. Poczynając od 1950 roku, produkcja tego narkotyku szybko rosła i obecnie wynosi ona od 175 do 200 ton rocznie. Oprócz tego przez terytorium Laosu przewozi się corocznie około 400 ton birmańskiego i od 50 do 100 ton syjamskiego opium. Opium ożłociło laotańską „elitę”, CIA, Korsykańczków oraz wielu innych kombinatorów, ale stało się przekleństwem dla plemienia Meo.

Pajęcza sieć narkotyków, w którą wpadły pewne rejony Birmy, Syjamu, Laosu i południowego Wietnamu jest niesłychanie precyzyjna i przemysłowa znakomicie. Zaplatały się w nią nawet rządy, znajdujące się hen, za górami za lasami, od napalmem spalonych dżungli Indochin.

Trasę przemytu: Vientiane — Sajgon uważa się za główną arterię kontrabandy. Samoloty z ładunkiem opium lądują zazwyczaj w porcie lotniczym Tanszoniat, pod Sajgonem. W oddalonym kącie lądowiska czekają na nie zaufani ludzie. Bezpieczeństwo operacji przemytu gwarantuje miejscowa policja. Znaczna część opium i heroiny pozostaje w Sajgonie, gdzie narkotyki sprzedaje się amerykańskimi wojskowymi, a także rozprowadza się po całym południowym Wietnamie, w szczególności zaś wśród głównych i stałych odbiorców — żołnierzy amerykańskich baz wojskowych.

Dziennikarka, Gloria Emmerston, z Kansas City pisze: „W sztabie brygady w Longbin przyznają, że w heroinie zasmakowało 20 procent licznego składu tej jednostki. Prawą ręką można oddawać honory wojskowe oficerowi, otrzymując jednocześnie zastrzyk heroiny w lewą — powiedział mi pewien żołnierz. Wzdłuż całej 25-kilometrowej drogi od Bienhoa aż do samego Sajgonu jest pełno sklepików, w których — o czym bez trudu przekonałam się sama — można swobodnie nabyć heroinę po trzy dolary za porcję”.

W ponurej historii kontrabandy narkotykami „wiodącą” rolę odegrała, w końcu lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, ówczesna „pierwsza dama” Sajgonu, madame Niu (żona brata „prezydenta” Pl. Wietnamu, Ngo Dinh Diema — red.). Trzymała ona w swoich rekach cały transport opium w Południowym Wietnamie. Pani Niu przebywała w „splendid isolation” swej paryskiej rezydencji i do dzisiejszego dnia utrzymuje stare kontakty. Zdołała nawet zastraszyć pewnego amerykańskiego wydawcę i zmusić go do zaniechania publikacji kompromitującej ją książki.

Historia opiumowego biznesu sięga czasów reżimu francuskiej marionetki — Bao Daia. On to właśnie po-

wierzył stanowisko szefa policji niejakiemu Bai Vienowi, powiązanemu ze światem przestępczym. Bai Vien trzymał w swym ręku nie tylko tajne domy gry i handel narkotykami, ale i — co jest szczególnie ważne — kontrolował chińską dzielnicę Cholun. Bao Dai i jego protegowani zostali usunięci od władzy w 1954 roku przez Ngo Dinh Niu, brata Ngo Dinh Diema. Pozostawiwszy sobie służbę bezpieczeństwa, Niu rozciągnął absolutną władzę nad rynkiem narkotyków. W czasie gdy rodzina Niu umacniała swą pozycję w kraju, w aparacie wojskowym pojawił się niepozorny człowieczek, który z biegiem czasu nie tylko podporządkował sobie sajgońskie wojskowe siły powietrzne, i koniec końców zasiadł w fotelu „prezydenta”, ale również zagarnął całą handel podziemny w Pld. Wietnamie. Był to znany nam dziś dobrze... Nguyen Kao Ky (szukuje się obecnie do objęcia stanowiska „prezydenta” Pld. Wietnamu — red.), który powrócił wówczas z Algierii i został mianowany szefem lotnictwa transportowego.

W jakim momencie nawiązał Ky „handlowy” kontakt z Niu — nie wiadomo, dość że w końcu lat pięćdziesiątych stał się ważną figurą w sajgońskiej „elicie”. Oto, jak opisuje jego ówczesny styl życia dymisjonowany pułkownik piechoty morskiej USA, William Corsson: „Ky był zaledwie pułkownikiem lotnictwa, ale urządził wystawne przyjęcia na dachu hotelu „Caravelle” w Sajgonie. Te kosztowne obiady dawały nam dużo do myślenia, gdyż nie wiadomo było, skąd Ky czerpał na to pieniądze”. Źródła dochodów Ky stały się wiadome w 1968 roku, kiedy amerykański senator, Ernest Gruening, poinformował senat, że Ky z polecenia CIA, przetrzącał dywersantów do północnego Wietnamu. Senator powiedział też, że w końcu Ky i jego ekipa zostali odsunięci od tych operacji, kiedy przyłapano ich na przemycaaniu opium z Laosu do Sajgonu. Niektórzy obserwatorzy wyrażają opinie, że po zdobyciu władzy w 1965 roku, obecny „wiceprezydent”, Ky, pohamował swoje apetyty w handlu opium. Jednakże w Sajgonie było tajemniczą poliszywną, iż żona Kao Ky, (wciąż mowa o obecnym „wiceprezydencie”

reżimu sajgońskiego — red.), która odziedziczyła po madame Niu tytuł „pierwszej damy” w kraju, osobiście handlowała opium z księciem laotańskim Bun Umem. Ponadto, jak utrzymuje pewien wyższy sajgoński funkcjonariusz wojskowy, Ky nawet wtedy, gdy stał się już „głową państwa” nadal szmuglował narkotyki z Pleiku do Sajgonu, partiami po 2—3 tony.

Wartość obrotu handlowego narkotykami w Indochinach waha się w granicach od 250 do 500 milionów dolarów rocznie. Nigdy przed tym rejon ten nie zajmował tak eksponowanego miejsca w światowym przemyśle narkotyków. Tradycyjne drogi szmuglu opium i heroiny wiodły niegdyś z Turcji, z Iranu i Chin. Dalszego przeobrażenia tych narkotyków dokonano w Marsylii. Śródziemnomorskie drogi tej kontrabandy kontrolowała korsykańska mafia, powiązana z tej miary królami podziemnego świata USA, co Luciano, który sprzedawał narkotyki w murzyńskich gettach. Jednakże, wraz z rozszerzeniem się amerykańskich wpływów w basenie Oceanu Spokojnego, w geografii światowego handlu opium zaszły kolosalne zmiany, zarówno w sferze hodo- wli surowca, jak i dróg przemytu.

Według opinii ekspertów ONZ, od 1966 roku, 80 procent nielegalnie sprzedanego opium (1200 ton) pochodziło z południowo-wschodniej Azji. Stwierdzenie to całkowicie obala sugestie oficjalnych czynników USA, iż głównym ogniskiem kontrabandy jest Bliski Wschód.

Uzasadniać rozkwit kontrabandy opium w Indochinach wyłączenie korupcją określonych kół byłoby ślizganiem się po powierzchni tego problemu. Eksterminacja plemienia Meo, wyparcie korsykańskiej „Air-Opium” przez podporządkowaną CIA — „Air-America”, przemysłowe kombinacje czangkaizsekowców, udział w handlu narkotykami takich rzeźników amerykańskiej demokracji, jak Niu i Ky — to tylko pozorne przejawy o wiele bardziej głębokiego

procesu. Tradycyjne drogi przemytu opium (Bliski Wschód — Zach. Europa) zastąpił nowy system rynku podziemnego, wciąż unowocześniany. Struktura organizacyjna kontrabandy opium została najpierw zburzona, a następnie zbudowana od podstaw, zgodna z potrzebami strategii USA w tej części świata. Polega ona na stopniowym rozszerzaniu amerykańskiego panowania nad całym kontynentem azjatyckim, w interesie kół, które dążą do przekształcenia Indochin w „przedsięk Chin”.

Geograficzne przemieszczenie światowego handlu narkotykami w stronę Indochin jest odwrotną stroną amerykańskiej interwencji w wewnętrzne sprawy narodów tego półwyspu. Stany Zjednoczone przyniosły z sobą do Indochin ludobójstwo i korupcję. Armady amerykańskich samolotów zrzucają bomby na bezbronną ludność. Amerykańscy doradcy stworzyli i wyszkolili marionetkowe wojska. W obfitości pojawiły się splunki i zbrodnie wzorowane na amerykańskim stylu życia. Nielegalny handel narkotykami otrzymał teraz nowy impuls: został usystematyzowany, oparty na bazie najwyższej techniki, transport odebrano Korsykańczkom — amatorom i oddano w ręce specjalistów. Słowem zajęli się tym fachowcy wysokiej klasy. Ubocznym produktem wojennej eskalacji Stanów Zjednoczonych w Indochinach jest stworzenie niezwykle pomyślnych warunków dla rozwoju kontrabandy.

„Brdna wojna”, na zasadzie bumerangu, wraca i uderza w Stany Zjednoczone. Toczy się po ulicach wzbudzonych gett miejskich, zagnieżdżila się w samych przedmieściach. Heroina stała się nową, ciężką chorobą Ameryki. Straszny nieszczęściem matek, które odnajdują ślady ukłuc na rękach swych córek, nieszczęściem ojców wpadających w bezsilną wściekłość, kiedy widzą synów powracających z wojny ze strzykawką. Jako jedynym, niezapomnianym wspomnieniem...

Zawszqd o wszystkim

W przedzjazdowej dyskusji

(Dalszy ciąg ze str. 1)

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

**PISARZ
PREZES ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU
ZWIĄZKU LITERATÓW
POLSKICH,**

Zasadnicza rola literatury — zwłaszcza teraz — nie leży w warstwie skandali, zdrad itp. Po tych wstrząsach, których byliśmy świadkami i które nas wszystkich dotykały, potrzebna jest literatura w wymiarze wielkiego moralitetu. Właśnie dziś taka literatura jest potrzebna najbardziej.

Chodzi tu nie tyle o obrachunki z ludźmi, ile o poważny obrachunek moralny. Chodzi o wymierzenie stosunku do samego siebie, pracy, ambicji. Na przekór cwaniactwu, na przekór imitatorstwu w literaturze i obok niej.

Tyle spraw tkwi w nurcie społecznego życia! Trzeba więc sięgać do problematyki kraju, narodu, współczesności... Bo przecież od czasu literackich obrachunków moralnych, wynikłych ze sprzeciwu wobec faszyzmu i wojny — tak mało było książek podejmujących wielkie tematy moralne naszych czasów, współczesności.

Jako wydawca i jako pisarz widzę pilną potrzebę takiej literatury. Właśnie teraz jest szansa i konieczność podjęcia prób literackich w wymiarze moralitetu czasów, w których żyjemy.

BENON LIBERSKI

**PREZES ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU
ZPAP**

Punkt 120 „Wytycznych KC PZPR na VI Zjazd partii”, który mówi, że jednym z głównych założeń polityki kulturalnej jest „upowszechnianie najbardziej war-

tościowych treści kultury ogólnoludzkiej” ma dla łódzkiego środowiska plastyków istotne znaczenie. Do tej pory bowiem warunki upowszechniania plastyki w Łodzi są żałosne. Jakże można mówić o upowszechnianiu plastyki wśród społeczeństwa, skoro przez 25 lat nie mogliśmy się dobić o stworzenie w mieście galerii sztuki? A przecież galeria taka stwarza możliwość nie tylko prezentowania naszej twórczości społecznej, ale także pozwala każdemu artyście sprawdzić wartość swojej twórczości w bezpośrednim kontakcie z odbiorcą.

W łódzkim oddziale ZPAP jest ponad 300-osobowa sekcja projektantów przemysłowych. Istnieje zatem konieczność organizowania także wystaw projektów. Co roku robimy okręgową wystawę sztuki użytkowej, ale to nie wystarcza. Co trzy lata będą się odbywać wystawy wzorów tkanin i gotowych produktów. Przy odpowiednich warunkach lokalowych, jakie daje galeria, można by jednocześnie zorganizować giełdę wzorów dla kontrahentów zagranicznych i nadać tej imprezie charakter międzynarodowy. Byłaby to więc ogromna szansa nie tylko dla Łodzi, ale i dla Polski.

W Łodzi kilka razy w roku odbywa się giełda tkanin w Pałacu Sportowym i za każdym razem wydaje się duże pieniądze na steż. Niszczony natychmiast po giełdzie. Gdyby na przykład wybudować galerię wspólnie z Ministerstwem Przemysłu Lekkiego, to przy odpowiednim porozumieniu, korzyści wyniosłoby i ministerstwo i łódzcy plastycy.

Wreszcie przypomnę, że na plenarnej sesji Rady Narodowej w Łodzi w 1969 roku zapadła decyzja o budowie galerii. Mam nadzieję, a upoważnia mnie do tego tekst Wytycznych KC PZPR, że ta pałaca dla nas sprawa zostanie pozytywnie rozwiązana.

Ostatnia sprawa, którą chcę tu poruszyć, to uporządkowanie paradoksalnych przepisów celnych przy wywozie np. obrazu współczesnego malarza. Pomijając już tu aspekt ekonomiczny, pamiętajmy, że jest to przede wszystkim szansa upowszechniania polskiej sztuki współczesnej poza granicami kraju. I chyba szkoda tę szansę zaprzepaszczać.

ZENON PŁOSZAJ

**REKTOR
PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ
SZKOŁY MUZYCZNEJ
W ŁODZI**

Jednym z elementów upowszechniania kultury jest wyciągnięcie muzyki do społeczeństwa. Jeśli chcemy osiągnąć w tej dziedzinie jakieś sukcesy, to muzyczną edukację trzeba zacząć od najmłodszych. Swego czasu w Łodzi Łódzkie Towarzystwo Muzyczne wraz z Filharmonią zorganizowało koncerty dla maluchów. Koncerty w sposób przystępny wprowadzały dzieci w świat muzyki. Po kilku koncertach zarzucono jednak tę inicjatywę, ponieważ okazało się, że impreza nie przynosi dochodu. Jest to nieporozumienie, bo jeśli można tu mówić o dochodzie, to jedynym dochodem w tym przypadku może być tylko wykształcenie sobie przez Filharmonię nowych i wdzięcznych słuchaczy.

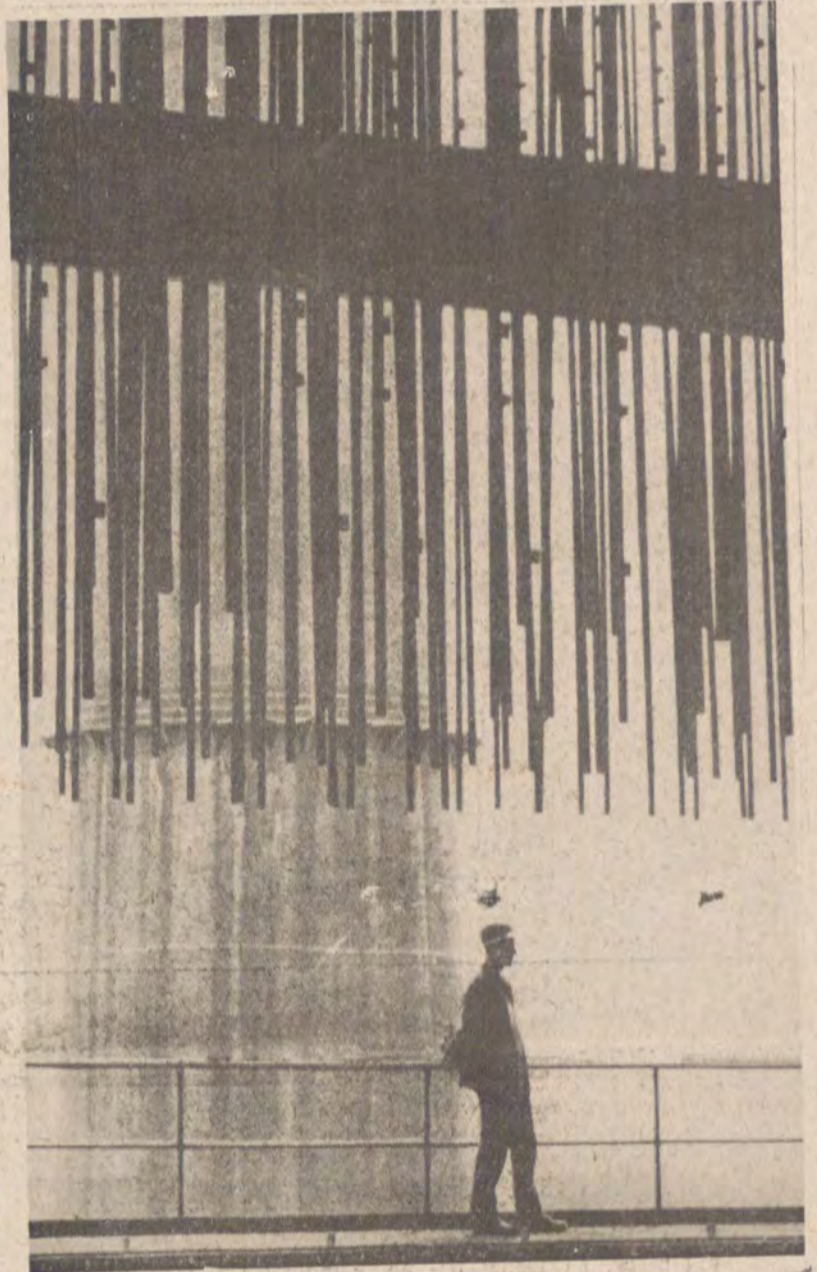
Jednym z elementów wychowania muzycznego powinno być stworzenie warunków dla rozwoju utalentowanej młodzieży. Niezbędna jest do tego właściwie zorganizowana sieć szkół muzycznych I i II stopnia. W Łodzi i województwie mamy takich szkół zaledwie jedenaście, podczas gdy na przykład w województwie katowickim jest ich 24. Pierwszym etapem w rozwoju sieci szkół muzycznych mogłoby być — wzorem Warszawy — tworzenie w wydzielonych szkołach klas muzycznych dla uczniów z klas od I do IV. Wydaje mi się, że stworzyłoby to lepsze niż dotychczas warunki do wyławiania talentów oraz pozwoliłoby szukać ich wśród młodzieży robotniczej. W tej chwili bowiem kształcimy przede wszystkim dzieci ze środowisk inteligentnych.

Jako rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że jesteśmy jedną w kraju wyższą szkołą muzyczną, która nie ma ani własnego domu akademickiego, ani też własnej sali koncertowej. A przecież sala koncertowa spełniałaby funkcje usługowe dla społeczeństwa i byłaby jednym z czynników przyczyniających się do upowszechniania muzyki. W tej dziedzinie sporo jest jeszcze do zrobienia. Ot, choćby świetlice i domy kul-

tury, które zbyt jeszcze często idą na łatwiznę, proponując swoim odbiorcom nie zawsze najbardziej wartościową muzykę. Ten sam grzech popełnia czasem i telewizja.

Wśród wielu spraw, które są jeszcze do załatwienia w życiu muzycznym, jedną z najpilniejszych jest ustalenie zasad przyznawania emerytur dla muzyków, śpiewaków i tancerzy. Do dziś

nie jesteśmy w stanie nikogo przekonać, że śpiewak, który przekroczył pewną granicę wieku, a nie osiągnął jeszcze lat emerytalnych, nie może dalej wykonywać swego zawodu i powinien wcześniej dostać emeryturę. Nie każe się przecież naszym zasłużonym działaczom sportowym, aby bronili barw klubowych i narodowych na zawodach sportowych.



LISTY do REDAKCJI

W związku z zamieszczonym w Waszym Tygodniku nr 29 (713) z dnia 18.07. 1971 roku artykułem redaktora Karola Badziaka pod tytułem „Słodkie życie elity diabełskiego grodu” poruszającym m. in. atmosferę pracy i działalność niektórych osób zatrudnionych w jednostkach służby zdrowia i opieki społecznej pow. łęczyckiego. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi wyraża przekonanie, iż podjęte kroki przyczynią się do poprawy działalności organizacyjno-leczniczej oraz odbudują autoritet służby zdrowia wśród ludności powiatu łęczyckiego.

**Z-ca Przewodniczącego Prez.
MIECZYSLAW
AUGUSTYNIAK**

**DO REDAKCJI
„ODGŁOSÓW”**

Przeczytałem artykuł Zofii Tarnowskiej „Strach i odwaga” z 35 nr „Odgłosów”. Artykuł określony mianem dyskusyjnego. Przeczytałem jak wielu innych ludzi — czytelników Waszego pisma. I chyba odłożyłbym gazetę po przeczytaniu, tak jak robiłem to wielokrotnie po zapoznaniu się z zagadnieniem, na którego roztrząsanie wylano już wiele atramentu i farby drukarskiej na łamach chyba wszystkich dzienników i czasopism centralnych i terenowych w Polsce. Postąpiłbym tak, gdyby nie bogate doświadczenia wyniesione z urlopu, który spędziłem odwiedzając spory kawałek naszego kraju. Niestety, wszystkie piękne miejscowości i zakątki, bez względu na to, czy był to duży kurort w rodzaju Zakopanego, czy mała wioska, jak np. Narewka w woj. białostockim, miały jedną wspólną cechę: strach było

przejsć ulicą czy drogą po zapadnięciu zmroku, a i w ciągu dnia częstokroć wołałem nie jeść obiadu, niż odważyć się skorzystać z „gościńności” gospody ludowej lub bufetu dworcowego. Nie, nie przesadzam. Już w pierwszym tygodniu wakacji, kiedy zdobyłem się na odwagę spożycia czegośkolwiek w bufecie na dworcu w Goldapi, tylko dzięki szybkiemu nogom uszedłem cało. Powód? Ośmieliłem się zaprotestować, kiedy zostałem obłany cuchnącym piwkiem przez „miejscowego”. Po kilku dniach nowym incydentem tego typu powitało mnie Zakopane. Siedziałem w towarzystwie kolegi i dwóch dziewcząt w barze mlecznym na Krupówkach, lokalu bardzo ruchliwym, przez który przewijają się setki urlopowiczów, pragnących szybko i tanio zjeść smaczny n. b. posiłek i lądzących się, że przynajmniej tutaj będzie to możliwe bez zaciepek i wywisk podchmielonych górali. Tak było tylko przez chwilę, dopóki nie wtargnął pijany mężczyzna. Nie, nie zaczął nikogo. Po prostu chodził po sali i na całe gardło bluzgał najordynarniejszymi wyrazami. Zwrócona przez kolegę uwaga spowodowała nowy stek wywisk. Gdy pijak stał się agresywniejszy, kolega wypchnął go z baru na ulicę. Po chwili awanturnik wrócił wrzeszcząc „Mnie za kark, zakopiańczyka, chłopca z gór, Polaka” i znów ciskając ordynarne wyrazy i groźby pod adresem kolegi. Nie byłoby

w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że przybyły w chwilę potem milicjant nie zaczął... spisywać kolegi za „czynną napaść”. Dopiero zdecydowana postawa i obrzucenie innych ludzi, obecnych w barze wyjaśniły całą sprawę. Ale myśli się, każdy, myśląc, że awanturnika spotkała jakaś kara. Owszem, „kara napomnienia” — milicjant skwitował cały incydent nakazem „iść do domu”. Ktoś powie, że to przypadek nietypowy, ale podobnych można przytoczyć mnóstwo.

Ostatnio na łamach prasy krakowskiej, a także i innej pojawiły się artykuły o wypadkach okradania i pobicia turystów przez miejscowych chuliganów. Takie wypadki zdarzały się w Nowym Sączu, Szczawnicy i innych miejscowościach. Na Podkarpaciu i nie tylko. Zdarzył się nawet przypadek zabicia jednego z napaśników przez zaatakowanego w środku nocy i rozpaczliwie broniącego się chłopaka biwakującego nad Dunajcem. Zabójca mimo woli. Kto tu jest winien?

Te i setki innych przykładów, z jakimi przecież każdy spokojny człowiek spotyka się niestety, na co dzień, mówią same za siebie. Dużo się pisze i mówi „dość pobłażania dla chuliganów”. A „bohaterowie” takich artykułów? Śmieją się już nie w kulak, śmieją się zapijaczoną gębą w twarz każdemu napotkanemu na drodze, a gazetą z wydrukowanym artykułem na ich temat owija-

ją pustą już butelkę, by szkło nie pokaleczyło ich nieskazonych pracą łap gdy będą rozbijali butelkę na głowie kogoś, kto ośmielił się im przeciwstawić. I dlatego zgadzam się z autorką artykułu: podwoić patrolę milicyjną, ale sama milicja rzeczywiście niewiele pomoże, jeśli wyroki sądów i kolegów za chuliganstwo (a najczęściej zwykły bandytyzm) będzie się przyjmowało z pogardliwym uśmiechem na zapijaczonej gębie. Jeśli pobyt w więzieniu traktować się będzie jako wypoczynek, jeśli dziesięć — czy dwudziestokrotny noleg w Izbie Wytrzeźwień będzie dalej powodem do dumy i splendorów w gronie „świętych krów”. Tu są potrzebne nie półśrodki, nie „system wychowawczy”, ale metody ostre, nawet drastyczne. Żeby stanowiły karę, żeby odstraszaly i były ostrzeżeniem.

Nie szermujmy już kontrargumentami o ponizaniu karanych, o naruszeniu godności ludzkiej. W stosunku do listy (bo nie wychodzi mi nazywanie bandziorów i zwyrodniałców ludźmi), które działają bez żadnych skrupułów i także bez żadnych skrupułów ponizają ludzi, odbierają im zdrowie i życie. Może to truzim, ale czas już najwyższy naprawę uruchomić wszystkie środki w walce o spokojne ulice, o całość naszych głów i kończyn. I jeżeli projekt obozów pracy przymusowej i publicznej zostałby oddany pod publiczną dyskusję, oboima reżyma podpiszę się pod nim ZA.

JERZY SŁAWOMIR MAC
Łódź
STUDENT
UNIWERSYTETU
WARSZAWSKIEGO

W następnym numerze „Odgłosów”

- I. HUSZCZA — Pomocnik stolarza
 - M. STRZELECKI — Sport w szkole
 - K. BADZIAK — Wywłaszczeni,
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

TAK zwany szlag mnie trafił któregoś dnia na pewnej naradzie, gdy się dowiedziałem, że niemal na każdej budowie jest grupa — tak około 10—15 proc. zatrudnionych — z którą nie wiadomo jak postępować, jak wychowywać i jak przeciwdziałać złu, które sieje. Te 15 proc. świętuje „poniedziałki murarskie”, w ciągu dnia parę razy „wyskakuje” na piwo do pobliskiego sklepiku, rozpija całą zdrową resztę, przychodzi do pracy kiedy chce — jednym słowem demoralizuje otoczenie.

Stwierdził ten fakt jeden z sekretarzy partyjnych dużego przed-

zięcia. Więc często te doskonale urządzone (dźwigi, koparki, wysokosprawne agregaty do różnych pracochłonnych czynności itp.) pracują na pół-obrotach, bo trzeba dać zajęcie wszystkim „zaplanowanym” ludziom. A tymczasem 10—15 proc. spośród tych „zaplanowanych” najwyraźniej — sobie bimba z roboty. Nie tylko bimba, ale i demoralizuje otoczenie.

A bimbanie jest kosztowne. Żeby zapobiec huśtawkom kadrowym i ustabilizować zatrudnienie na placach budowy, w Łodzi wznosi się dwa hotele robotnicze. Mają one tylko przypadkowo przymiotnik „robotniczy”, sugeru-

wiatu. To ci przypadkowi bim-baja sobie pracę — zwłaszcza la-tem — lamia plany robót na bu-dowach.

Jest więc sposób na pewną stabilizację załóg, ale nie ma jeszcze sposobu na owe 15 proc., które niby to pracuje, ale od środka draży, systematycznie psu-je nastrój rzetelnego wysiłku na budowie, upija się i upija innych.

★ ★ ★

Kolega-dziennikarz otrzymał polecenie od swego szefa, by na-

wo. Bambrychy wyciągały z kieszeni półlitrowki, a kielbasę i ogórki z papieru i piąc pod pa-liec śmiały się w kulak z akcji. Może przestaną się śmiać, gdy te akcje będą nieco częstsze...

Jedna z gazet apeluje do czy-telników, aby ujawniali fakty złego zarządzania i kierowania produkcją, inna — o zmianę sto-sunku urzędu do petenta, trzecia — o zwiększenie gospodarności. Są to apele słuszne, ale wyceło-wane głównie w złych kierowni-ków, złych naczelników i złych dyrektorów. Czasem odnosi się wrażenie, że za dużo energii wkładamy w przekonywanie lu-dzi właściwie już przekonanych, a za mało w precyzowanie pro-gramu działania w stosunku do owych 15 proc., które ciągną w dół, dążą do czegoś innego niż te 85 proc. zdrowo myślących obywateli. Zły dyrektor i zły na-czelnik najczęściej jest już prze-konany, tylko nie potrafi inaczej, w złych dyrektorach i naczelni-kach nie ma takiego nasilenia złej woli i pasji oporu w stosun-ku do społeczeństwa, jakie ce-chuje ów groźny społecznie 15-procentowy margines. Te 15 proc. pracuje na pół, albo nawet na ćwierć-obrotach i śmiało możemy przyjąć, że co dzień, co miesiąc i co rok ograbia nas co najmniej z 7—10 proc. przyrostu wartości mających swę odbicie w dochodzie narodowym.

Wielu „fachowców” spośród tych 15 proc. pilnuje tylko własnego, osobistego dochodu. Do jed-nej z łódzkich gazet czytelnicy napisali list pełen oburzenia. Wprowadzili się do nowego do-mu, w którym było bardzo dużo usterek. ADM — na skargi lo-katorów — rozkładała bezradnie ręce, odsyłając ich do przedsię-wzięcia budowlanego, winnego niedoróbek i braków. Przedsię-wzięstwo jednak robiło już co in-nego, wznosiło kolejny blok mieszkalny (również chyba z podobnymi usterekami) — nie miało czasu na zrobienie tego, co do niego należało. Więc lokatorzy wzięli się na sposób — poprosi-li kilku „fachowców” z sąsied-niego placu budowy. Przyszli chętnie, zrobili fuchę, usunęli usterek i zainkasowali odpowied-nio. Mieli czas na fuchę, a przed-sięwzięstwo — sprawca usterek tego czasu, nie miało. Dlaczego jednak kierownicy i majstrowie z tego przedsięwzięcia nie dopi-łnowali, aby przed oddaniem bloku do użytku wszystkie robo-ty były wykonane bez zastrzeżeń? Bo ich zakrzyczeli opylacze i spryciarze, amatorzy fuch, ci, któ-rym śpieszy się do kiosku na pi-wo. Więc i ci kierownicy i maj-strowie na budowach nie są bez winy.

★ ★ ★

— Co, ewentualnie — kogo zmieniliby Pan (Pani) w swej fa-ryce, biurze, instytucji czy urzę-dzie?

Takiej ankiety jeszcze u nas nie było, ale gdyby ją zorganizować, okazałoby się, że stałaby się interesującym referendum obywatelskiego poczucia współ-

odpowiedzialności i zaangażowa-nia.

Wydało się, że odpowiadający na pytania ankiety z równą pa-sją wymierziliby ostrze swej kry-tyki w tych, którzy hamują postę-p we wszelkich jego posta-ciach, jak i w martwe już nie-kiedy przepisy, oderwane od ży-cia zasady działania, brak i nie-domagania w produkcji, handlu, w funkcjonowaniu agend różnego rodzaju. Często, oczywiście, w jednym miejscu zlokalizowany oba uderzenia, tym bardziej, że sporo błędów w gospodarowaniu wynika z przyczyn subiektyw-nych, zależnych od poziomu i znajomości rzeczy odpowiedzial-nych kierowników. Wiele jednak wniosków dotyczyłoby zjawisk, które zrodziły przyczyny zewnę-trzne, obiektywne.

Ankieta ujawniłaby chyba róż-nież te wszystkie przypadki, w których rutyna kierowników nie nadała już za ogólnym tempem rozwoju. Myślę tak, bo przypo-mina mi się rozmowa ze znajo-mym, który w czasie swego ur-łopu bawił w pewnym małym miasteczku.

— W tym miasteczku — mówił — jest wiele do zrobienia, aż się prosi, żeby wybudować jakieś nowe kawiarnie, restauracje, stworzyć pola namiotowe dla tu-rystów i inne takie rzeczy po-trzebne przyjeźdnym, bo mia-ścisko żyje z turystyki i wycie-cek. Przewodniczący rady naro-dowej te potrzeby rozumie, widzi je, ale nie w tej sprawie nie usiłuje robić.

— Dlaczego?

— Właśnie, on sam zapytuje podobnie — dlaczego ma to ro-bić? Muszę ci powiedzieć, że przewodniczącym jest osobą pow-szechnie szanowaną i lubianą, posiada bogate doświadczenie ży-ciowe i wieloletni staż pracy w organach władzy terenowej. Ale nic nie robi, bo czy mu źle? Co otrzyma za to, że weźmie na swe barki nowe obowiązki, nowe in-westycje, spędzające mu sen z oczu? On chce mieć spokój...

Zastanowił mnie ten przykład. Jeśli bowiem rutyna, brak polo-tu organizacyjnego, patrzyenie we własny pepek czyni tyle zła w małym, kilkutysięcznym miasteczku, to ile musi go wyrządzać w mieście na przykład półmiliono-wym? I zastanawia jeszcze jed-na sprawa. Czy między tym prze-wodniczącym, który uważa, że na swym urzędzie robi już wszyst-ko co do niego należy a owym „fachowcem” z sąsiedniej budo-wy, który na etacie partaczi i goni za pozaetatowymi fuchami — jest jakaś istotna różnica?



sięborstwa budowlanego. Inni uczestnicy narady malowali obraz podobny — wszyscy zastanawiali się nad sposobami zaradzenia temu zjawisku, wolającemu o pom-stę. Ale zło chodzi w parze. Uja-wniono na przykład, że człowiek zwolniony z pracy nawet za po-ważne wykroczenia przeciwko dyscyplinie pracy, na jednej bu-dowie, już następnego dnia przy-jmowany jest z otwartymi ramio-nami na drugiej. Bo ludzi wszę-dzie brak, bo plany realizuje się przy określonej wielkości zatrud-nienia i nawet jeśli go wpro-wadzeniu jakichś udoskonaleń i urzędzeń ułatwiających pracę zwiększa się teoretyczna wydaj-ność — to często za tym postę-pem nie idzie racjonalne zmniej-szenie planowanej obsługi, bo do-brze mieć jakąś rezerwę w lu-

gą, że to budynki prymitywne. Te hotele dla budowlanych po-siadają (jeden już jest gotowy) bardzo wysoki standard wyposa-żenia, są hotelami na wysoki po-lysk — za „łóżko” w budynku z takim standardem nad morzem żąda się 40 zł dziennie. Więc buduje się za kilkana-ście milionów zł dwa hotele, aby skończyć z kosztownym przywo-żeniem ludzi do pracy z najod-leglejszych nieraz wiosek i mia-ścetek w województwie. W ho-telach zamieszkają oczywiście tyl-ko ci, którzy chcą się na stałe związać z Łodzią i z budownict-wem, zbyt drogo bowiem kosztu-ją nas budowlani z przypadku, przyjeżdżający tylko po to, żeby dorobić, a nie żeby zarobić, żeby przepracować parę miesięcy i po-tem znów przysnąć do swego po-

pisał artykuł — zaadresowany do siewców niepokoju, do mętów społecznych, do „marginesu”.

— Po co? — zapytał kolega. — Kogo mam przekonać — łobu-zów? Lobuzy gazet nie czytają.

Może miał rację. Lobuzy czy-tają najwyższej kroniki sądowe i sprawozdania z kolegiów karno-administracyjnych, aby się do-wiedzieć, którzy ze znajomych dostali odsiadkę i na jak długo, którzy muszą bulić dwa patyki za rozróbę w pijanym widzie. Od artykułów umoralniających łobuz ucieka jak diabeł od święconej wody.

Niedawno była w Łodzi akcja milicyjna, wymierzona w margi-nes społeczny. Po dwóch godzi-nach w tych samych miejscach „margines” zbierał się już na no-

mał się na miejscu wydarzenia, znalazł tam kieliszek (zgnieciony) i czapkę spor-tową z emblematami, pozostawione w szamotaninie.

★ ★ ★

Drużyna Ligi Juniorów RKS Lechia — Tomaszów wracała tego dnia (dokładnie 4 lipca br.) z zawodów mistrzowskich

ZOFIA TARNOWSKA

„Sportowy” wyczyn

okazało się, że była to rzeczywiście... grupa sportowców z klubu sportowego RKS Lechia w Tomaszowie. Trenerem i kierownikiem grupy był Zygmunt Z. — on pierwszy uderzył i najwięcej bił właściciela „syrenki”.

Widocznie sportowcy w Tomaszowie cieszą się powszechnym szacunkiem i za-ufaniem, skoro oficer dyżurny KM w To-maszowie oświadczył poszkodowanemu, pobitemu człowiekowi, że nie widzi pod-stawy do zatrzymania kogokolwiek i przy-jęcia „na protokół” usnego zawiadomie-nia o przestępstwie. W ten sposób ob. J. K. uniemożliwiono natychmiastowe rozpoznanie innych napastników.

W drodze powrotnej do Łodzi zatrzy-

piłki nożnej, które zostały rozegrane z drużyną MZKS „Tur” w Turku. Młodzi piłkarze pod wodzą trenera w drodze po-wrotnej raczyli się alkoholem (z żalu czy radości) i widocznie mecz nie dostarczył im dość emocji, skoro postanowili wyla-dować energię w tym bestialskim napa-dzie.

Zygmunt Z. został aresztowany. W sto-sunku do innych sprawców napadu roz-poznanych w trakcie dochodzeń zastoso-wano dozór milicji. Sprawę przejęła pro-kuratura.

Trener drużyny juniorów i wychowaw-ca Zygmunt Z. ma lat 35. Oficer dwójga dzieci, pracownik jednej z fabryk toma-szowskich. W głowie się nie mieści ze-

stawienie funkcji sportowej, zawodowej i rodzinnej z ekscysem, którego dokonał 4 lipca dając bezprecedensowy przykład swoim podopiecznym.

O chulihaństwie w sporcie mówi się (i pisze) coraz częściej. Ostatnio telewizja relacjonowała wydarzenia na boisku pił-karskim Śląska, na którym kopnięciem w głowę zabito bramkarza dlatego, żeby go unieszkodliwić. Przeciwnicy chcieli, żeby miejsce zajął rezerwowy — prze-kupiony paroma tysiącami złotych za „puszczenie” gola.

Cudowne zagrania sportowe. Jawne chulihaństwo i bandytyzm, przekupstwo i pijaństwo, „podkładanie” się, ustalanie wyników z góry itp. kombinacje przy-uwianiu chwytów nie tylko sportowo ale prawie zakazanych.

Sportowcy. Oczko w głowie państwa, społeczeństwa, zakładów pracy — ach, kogo by nie wylczyć, znajdując się „pod ochroną”. Dożywia się ich, wysła na obozy kondycyjne, chucha się i dmucha, żeby tylko osiągnęli wyniki, które w pięknej rywalizacji mają naród napawać dumą. Lokalnie i na światowym forum.

Nie chcę uogólniać. Stosuję liczbę mno-gą ze względu na drużyny. I niech nikt mi nie mówi o stadzie i parszywej owcy. Za dużo nam tych owiec parszy-wieje w wielu stadach. Należałoby doko-nać dokładnego przeglądu i eliminacji. Nie na sportowych stadionach. Wewnątrz sportowych mas, którym to przypa-dło udowodnić, że „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Jak się często okazuje i ciało chore i duch przestępczy...

PEWNEGO lipcowego wieczoru ob. J. K. wyjechał swoją „syrenką” za miasto. Niedaleko Kurowie około godz. 21 stanął w bocznej drodze polnej — skontaktowanej z szosą Łódź — Tomaszów. Po kilku minutach nadjechał autokar, który zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od „syrenki”. Właściciel „syrenki” oświecił wóz i przeczytał umieszczony na nim napis: RKS — Lechia Tomaszów Maz. Pomyślał: wycieczka sportowców, nie mam się czego obawiać.

Z autokaru wysiadło wielu młodych lu-dzi i nagle... część z nich otoczyła „sy-renkę” i na wezwanie jednego rozpo-częli „zabawę”. Przywódca grupy posta-nowił nawiązać kontakt z „syrenką” od wypuszczania powietrza z opony. Kiedy właściciel zobaczył, że rzeczywiście to nie żarty i że młody człowiek ma zamiar odkręcić wentyl — wysiadł z wozu i la-tarką elektryczną oświecił mężczyznę. W tym momencie około 10 młodzieńców rzuciło się na niego, przgnieśli do ziemi i zaczęli bić i kopać po całym ciele i głowie.

W pewnym momencie udało mu się wyrwać napastnikom i biegnąc w kierunku autokaru wołał pomocy. Od autokaru zbliżyła się inna grupa mężczyzn, ale pierwszy napastnicy nie zrezygnowali z „zabawy”. Z okrzykami: „bić, zabić, dajcie noża, my mu pokażemy” — ruszyli do ataku.

Niemal w cudowny sposób udało się napadniętemu wskoczyć do swego auta, uruchomić go i przerwać obłączenie. Po-tem uzupełnił powietrze w kole wozu



Nowogródek. Dom Mickiewicza — obecnie Muzeum

(Dalszy ciąg ze str. 1)

ków *Puszczańska Odyseja*, której akcja toczy się w okresie ostatniej wojny w obozie koncentracyjnym w Stutthof, a później na szlakach partyzanckich. Karpiuk do dziś zachował w sobie surowy, męski, partyzancki styl bycia. Odczytany i zorientowany we współczesnej literaturze polskiej, pytał o licznych kolegów z Polski.

Wizytę u Danuty Biczal-Zahmiejowej zachowałem w sobie jako subtelny, pastelowy obrazek. Nauczycielka literatury białoruskiej w grodzieńskim gimnazjum — trzyma również rękę na pulsie literatury polskiej. Ta młoda jeszcze poetka należy niewątpliwie do czołówek poetyckiej Białorusi. (Dzięki Wydawnictwu Łódzkiemu kilka jej wierszy będziemy mogli poznać w drukującej się obecnie antologii poezji białoruskiej).

Wasyła Bykowa, którego trześć lat już książka ukazała się w tłumaczeniu polskim (*Ballada alpejska*), niestety, nie zastałem w Grodnie.

Z Grodna do Dubrawki, wsi, gdzie urodził się mój ojciec i gdzie do dziś mieszkają Kononowicze, jechałem grodzieńską taksówką. Trasa nielicha, bo 110 kilometrów. Po drodze powiatowe miasteczko Mosty n/Niemnem, gdzie chciałem zameldować swój przyjazd, to trochę więcej niż duża wieś, a nieco mniej, niż miasteczko. Stacja i plac, gdzie stają autobusy, kilka większych sklepów w parterowych domkach, gospoda, trochę dalej szkoła, bank, poczta, posterunek milicji i nowo budująca się dzielnica szarych bloków, zakłócających obraz cichego, sennego miasteczka. Do Dereczyna, miasteczka całkowicie zniszczonego przez hitlerowców, kierowca wioził mnie jeszcze z wesołą miną i był życzliwie rozmowny. Teraz jego twarz przybrała chmurne oblicze. Te 12 kilometrów z Dereczyna do Dubrowki jechał wielokrotnie dłużej, niż uprzednio przebył 100 kilometrów. Wertepy, resztki grobli i piachy, piachy, piachy! Mieli nas nie tylko ludzie, ale i flegmacyjne krowy, oglądając się na niezwykle tu zjawisko: samochód osobowy.

Wielu z nas kojarzy sobie kołchoz z rządem standardowych domków, z robotnikami rolnymi, odzianymi w kombinezony, z wie-

czynym terkotem maszyn. Nic z tych rzeczy! Przynajmniej tu i w wielu innych wsiach grodzieńszczyzny, jakie widziałem w swej podróży. Chaty we wsi wdzięcznie i logicznie rozrzucone na miejscach dawnych pogorzelskich, gdyż wieś była całkowicie spalona w czasie wojny. Chaty, często zbudowane pośpiesznie, zaraz po wojnie, niewiele różnią się od swych spalonych poprzedniczek. Ale zaskakujące są ich wnętrza. Łóżniące, wypastowane podłogi, dywaniki, czyste otynkowane ściany, meble typu miejskiego, na „wysoki polysk”, telewizor, głośniczek radiowęzła, światło elektryczne — i całkowiły brak much i robactwa, co było tu przed wojną prawdziwą plagą. W obejściu widać krowę, cielaka, kilka świnek, czasem i kilka owieczek, kury, kaczki, siano w stodole, na zapleczu warzywnik, ule. Podobnie jak i u nas — brak we wsi młodzieży, która, wyjeżdżając do szkół, rzadko kiedy wraca na stałe do wsi rodzinnej. Wszyscy moi rozmówcy — a było ich wielu — chwala sobie nową strukturę wsi, zestawiając z przedwojenną nędzą i ciężką pracą. Są zafascynowani agrotechniką, maszyną.

— Ot, teraz wystarczy kilka maszyn, kilku traktorzystów i cała robota w polu załatwiona. Kobiety teraz u nas mają dobrze. Mało co i robią — a dawniej... nawet chleba nie potrzebują piec.

— Dużo lepiej żyjemy teraz, niż dawniej. Praca lżejsza, więcej czasu, chleb przywożą z miasteczka. Jest co wypić do własnej zakąski. Starsi ludzie mają rentę po 20, 30 rubli, nawet kobiety. A to przy własnym kawałeczku ziemi niema i na co wydać...

Dubrowka leży nad Łukonią i Szczarą. Szczara to piękna, nie zatruta przemysłem, rybna rzeka. Przez kilka upalnych dni pławiliśmy się w tej domowej rzece. Na górze piaskowej kilka stuletnich dębów. Na jednym z nich — bocianie gniazdo tak, jak przed wielu laty, kiedy tu byłem. Małe bocianiątko nad gniazdem ucza się nieporadnie latać...

A jednak — dzięki kierownictwu kołchozu — wydostaliśmy się z dubrowiańskich piachów. Wywioził nas służbowski „łazik” o konskim motorze, który wdrapałby się i na Himalaje. Dwadzieścia kilka

kilometrów przez nieskalany technika krajobraz — i stanęliśmy przed domem krewlaków we wsi Holuby n/Niemnem. Wieś oparta o skrzydło Puszczy Lipieciańskiej, jezioro rybne u stóp chat, no i cudowny, niebieski Niemen, szeroki tu, o piaszczystym dnie, błogosła-

Nad Niemnem, Szczarą, Wilią i Dnieprem

wione miejsce kąpieł w trzydziestopięcioletniej upały. Wieś rozrosła się po wojnie. Szpital, poczta, klub, szkoła, sklepy. O siedem kilometrów stąd prom na Niemnem do Orli, która jest autobusowym oknem na dalszy świat. Cały jednak problem to te kilka kilometrów przez piachy, leśne wertepy. Po pięciu dniach pławienia się w Niemnem, podwiezieni „łazikiem” kołchozowym do Orli, ruszyliśmy autobusem przez Żołudek do Lidy — a dalej pociągiem do Mińska.

Od chwili przyjazdu do Mińska w dniu 1 sierpnia, byłem przez dwa tygodnie oficjalnym gościem Związku Pisarzy ZSRR, gościem tak serdecznie i nobliwie podejmowanym, jak to tylko potrafił bracia-Słowianie.

Mińsk — milionowa stolica Białorusi. Jasne, czyste, zazielenione, ruchliwe i wciąż rozbudowujące się miasto. Uczelnie, instytuty, teatry, muzea, stadion, parki, kilka ocalałych z wojennych zniszczeń zabytkowych budowli, szerokie ulice z sznurami pływających aut. Miasto naprawdę godne miana stolicy. Kiedyś trzystotyśne, w 80 procentach zniszczone przez hitlerowców, podniosło się z gruzów, rozrosło i rozrasta się dalej. Przez sześć dni pobytu (mieszkałiśmy w

wygodnych apartamentach nowoczesnego hotelu) towarzyszył nam świetny białoruski pisarz i równie świetny człowiek i kompan — Janka Bryl. Pokazał nam wszystko, co godne w tym mieście obejrzenia. Zatrzaszczył się nawet o bilety do teatru na przedstawienie słynnego na świat teatru Obrascowa, który zjechał tu na gościnne występy.

Pierwszy nasz całonocny, samochodowy wypad z Janką Brylem — to wycieczka nad Swież i do Nowogródka. Popływać w Swieżu w upalny dzień, to historia niemal baśniowa! Na „szlaku mickiewiczowskim” serce każdego Polaka bije szybciej i mocniej. Tyle tu miejsc i pamiątek związanych z życiem i twórczością wielkiego poety! W Nowogródku z Góry Zamkowej i z kopca Mickiewicza oglądaliśmy panoramę „pagórków leśnych” i „łak zielonych”. U stóp Góry Zamkowej historyczna fara, gdzie król Jagiełło brał ślub z trzecią swą żoną, Sońką, i gdzie ochrzczony był Adam Mickiewicz. Mówią o tych wydarzeniach wmurowane stare tablice. Wielowiekowa świątynia utrzymana w doskonałym stanie. Szkoda, że nie zastaliśmy księdza proboszcza, który wyjechał na krótki wypoczynek. Dom Mickiewicza wiernie odbudowany z gruzów, mieści w sobie muzeum pamiątek mickiewiczowskich. Wielu zwiedzających. Rozmawiamy z dyrektorem muzeum, oglądaliśmy ekspozycję, wpisujemy się do księgi pamiątkowej.

Następnego dnia, niemal świtkiem (zegarki na Białorusi przesuwają się o dwie godziny naprzód), zawiózł nas Janka autem do Wilna. Kilka godzin jazdy pięknym

zwolili nam odwiedzić urlopującego nad Naroczą Maksima Tanka. A szkoda! Bo tak bardzo chcieliśmy się porozmawiać z nim na temat ostatnio wydanej arcydziełowej jego książki *Kartki z kalendarza* z lat 1935-39, gdzie roi się od polskich poetów i pisarzy, że wymienię z pamięci przykładowo i bezładnie: Putrament, Iwaszkiewicz, Zagórski, Rymkiewicz, Szemplińska, Broniewski, Skuza, Piechal, Mrozowski, Gałczyński, Szymański, Tuwim, Staff, Lopałewski, Mikulko, Słobodnik, Pięta, Cat-Mackiewicz, Bujnicki, Huszcza, Czernik, Czuchnowski i wielu innych. Równie gęste od polskich plastyków, naukowców, polityków. Myślę, że książka ta byłaby dla polskich środowisk artystycznych i politycznych dużą sensacją. Sygnalizuję ją polskiemu wydawcom, jeśli tego nie zrobił już ktoś inny.

Mimo czasu urlopowego miałem w Mińsku szczęście spotkać się i porozmawiać na tematy literackie i wymiany kulturalnej z białoruskimi kolegami ze środowiska pisarskiego i naukowego. Jedną z takich okazji do pogawarki, to wizyta w lokalu Związku Pisarzy, gdzie poznałem obecnego prezesa, znanego pisarza Iwana Szaniakina, Alesia Baczyłę i Alaksieja Kulakowskiego. W hotelu odwiedzili mnie pod wodzą Janki Bryla Iwan Salamiewicz (któremu właśnie przywożem świeży numer miesięcznika „Życie i myślenie” z jego esejem o M. Fedorowskim (poeta i naukowiec — Oleg Łojko, poeta i tłumacz literatury bułgarskiej — Nił Hilewicz, Adam Madzis (autor milej sercu Polaka książki *Podróż w wiek XIX*) i dynamiczny poeta i prozaik — Uladzimir Karatkie-wicz. W nieco poszerzonym gronie spędziłem w przeddzień wyjazdu do Kijowa wieczór pełen serdecznych toastów przy tzw. niezbyt słusznym „lampce wina”...

Z Mińska do Kijowa — 15 godzin jazdy pociągami. Kijów to osobny rozdział! Szeroki, wielki Dniepr, eksplozja zieleni, z której wyrastają łśniące w słońcu złote kopuły monasterów i cerkwi, wspaniałe, monumentalne pomniki, słynna Lawra Pieczarska, pałace i gmachy, fragment tysiącletniej Złotej Bramy, zachowane i pielęgnowane wielowiekowe pamiątki historii, arcydziełowe muzeum Szewczenki, muzeum Rylskiego, szerokie ulice, parki i ogrody, dziesiątki tysięcy ludzi okupujących naddnieprzańskie plaże, wspaniałe metro, mosty, kanały. Miasto o szerokim oddechu, ruchliwe, dynamiczne, wesołe.

I tu, podobnie jak w Mińsku, Związek Pisarzy Ukrainy ofiarował nam graniczącą z luksusem gościnę i koleżeńską, serdeczną atmosferę w czasie spotkań, wycieczek i pogwarek profesjonalnych. Miła, interesująca rozmowa z prezesem Soldatenką we wspaniałym gmachu Związku Pisarzy Ukrainskich, toasta w biesiada w gronie poetów i redaktorów „Wiswitu”, wycieczka godzinna ślizgowcem po Dnieprze, wycieczka samochodowa na tzw. morze kijowskie. Nasz opiekun z ramienia Związku, Igor Pietrowicz Kazimiro-wicz wodził nas i wodził przez sześć dni po wielkim, półtoramilionowym mieście i realizował nasze najbardziej wymyślne pragnienia.

Oby realizowały się nasze dwustronne, prywatne propozycje tłumaczenia poezji, jakie padły w przyjacielskiej rozmowie ze świetnym poetą ukraińskim, Dymitrem Pawlyczko...

Jakże Wam dziękować, drodzy Przyjaciele z Białorusi, Litwy i Ukrainy za Waszą gościnność? Ano, odwiedźcie nas w Polsce, to pogadamy!

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

RYSZARD BINKOWSKI

GRA W ZIELONE ALBO PANNY Z KOCA

Wieczór się dopalał rdzawo na uliczkach; był smród ze stygnących asfaltów, pośród murów falowało duszne, ciężkie powietrze.

W ciasnych salkach restauracji „Turystyczna” spod sufity prosiło już światło, z trudem przebijając się przez obłoki dymu, w którym majaczyły zapocone twarze. I dzwoniło gęsto szkło w skotłowanym tuszu.

Przy stoliku pod oknem trzech facetów w siatkowym nylonie cięło się zbyt głośno o to, czy w Warszawie można by piątka za brudaska przyhaczyć. Na dowód, że można, jeden błysnął pod serwetką zielonym papierkiem. Nikt nie

zwracał na nich uwagi. Wokół odchodziły na szemrano sprawy biznesowe. W oparciu o bufet. Bo ten lokal to cinkciarska baza.

Czwarty przy stoliku pod oknem, choć duchota niepomnierna, siedział w spękany skayu na grzbiecie.

— Kumpie, sukinkoty — czknał.

— Z branży — powiedzia-

łem.

— Co?! — warknął.

— Tak mi się wypnęło...

— Panie, skądże się pan urwał? A zresztą... Tylko stopa żyniowy, bo mi mowa nie leci. Mam pustynia chorobę gardła.

Poszła setka. I już była in-

na mowa. Blizutko, intym-

nie. Aż mnie wykrecało od jadalnych wyziewów śledzia z cebulką, gorzały.

— Celniej pan zagali, tak... Mnie się kiedyś opłacało do Warszawki lecieć. Większy ruch, zagraniczników kupa. Raz tu nawet gwineje przywożem do Łodzi. A potem w parku, ale gdzie, nie powiem, trafiam w Cygana. Esem szedi, mocno zafajdany. Rypnął na laweczkę, skrzypce trzasły, a ze skrzypiec sypla się „zielenie”. W rulonczki ciasno zbite... Ruszyłem na pomoc. Kilka przycisnąłem kaptami, a resztę pomagam zbierać.

Cygan wdzięczny. Czardasza chce ciąc na skrzypcowym wraku. To ja ciągnę zza kła-

py pierścionek i ładuję w niego. I tak pojechał mi do moie, gdzie miałem grubszą torsę, i sześćdziesiąt zielonych wziętem po osiem dych. A spod kapti wyjątem dwudziestkę i dwie piątki. I niszczyłem konkurencję, bo po sto, sto pięć puszczałem. To mi skulił gębę i przegnal spod PeKaO. Gdzie miałem pracować? Rozpiłem się z żalu. Przepuściłem zielone i goły śmieć jestem. A tu, na Moniuszki, fajna była robota. Klienci szli po wódkę i fajki. Teraz zwijam manetę, do kumpla w Warszawie jadę. Tam można zacząć od nowa...

Dalszy ciąg na str. 9

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

Audiencja bez kolejki i skrupulatne przygotowania

PAN Listewski miał swoje metody pracy. Przeszedłem już okres, kiedy krzątałem się w domu i pomagałem pani majstrowej, pan Listewski wysyłał mnie już do swoich klientów, którym musiałem robić przymiarke: krawiecką miarą mierzyłem odległość od nosa do dużego palca stopy, a potem od lewego do prawego ramienia.

Do przymiarke przyjechać miał kulał, pan Lapczywsky. Pan majster przeczuwał dobry zarobek, gdyż wiedział, że pan Lapczywsky przywiązywał do tamtego życia ogromne znaczenie. Postawił on już sobie ogromny grobowiec, rzeźbiarz wyrzeźbił mu Pana Jezusa, który ugina się pod krzyżem. Tego Jezusa pomalował mu w kolorach naturalnych pan Kociubiński, malarz ścienny, który dopóki ćwiartki nie wypię, szlaczka nie umiał prosto wymalować, ale pan Lapczywsky wódkę mu postawił, bo troszczył się o swoje życie po śmierci i ten Pan Jezus był extra taki jak żywy, usta czerwone, oczy niebieskie, brewki czarne, włosy siwiutkie od cierpienia i wysiłku z krzyżem. Widziałem akurat jak go malował, byłem wtedy zanieść kwiaty na grób nieznanego żołnierza, wysłała mnie tam pani Zenona, bo ten Edward, którego ona wspominała był żołnierzem i nieznanym, bo w czasie wojny nie wiadomo gdzie się podział. Pół litra strażackiej stała na płycie, a malarz Kociubiński wykańczał lewe oko Pana Jezusa. Co chwila pociągał lyk z butelki i pod nosem szeptał:

— Bedziesz miał ślipka jak żywe, możesz mi wierzyć, znam się na tym... żebyś widział to morze i mewy, które dla fotografa żem odmalował... mówie ci... jak żywe... i wzburzone... po takim byś nie przeszedł...

W przerwach między słowami i haustami bekał i wykreczał usta. — Nie wierzysz?... wierz mi, jakem Kociubiński... i mówie ci, że cie kocham... słyszysz?... usteczka bedziesz miał jak koraliki... — mówił i czerwona farba pociągał usta Pana Jezusa, w lewej dłoni trzymał butelkę, której nie stawiał już na płycie, bo się zbyt często musiał po nią schylać. Mówił coraz więcej, zza krzaku wszystko słyszałem, a nawet czasami głos podnosił, przepijał też do Pana Jezusa, a nawet klepał go po lewym, wolnym od krzyża ramieniu.

— Za nowe czasy, Jezu Chryste, będzie lepiej... tylko po coś tych Niemców skurwysynów tutaj wpuszcili... mój brat się za ołtarzem wielkim schował, ale go tam skurwysyny znaleźli... kulkami go podziurkowali jak sito... he?... tego nie moge ci zapomnieć... ale dobra, w porządku... nie twoja wina... ale po co ten krzyż ciężki było nosić?... widzisz, na darmo?... powiem ci, Jezu Chryste, że lepiej było dbać o swoje interesy, rozumiesz?... dłużej byś pożył chudziaczku... a dobrze na świecie... o sobie trza było myśleć, bidaku, nie za ludzkość... jak mam lat sześćdziesiąt pięć to ci mówie, że tego świata nie naprawi... ja w to nie wierze... pociągniesz?... wierz mi...

znam się trochę lepiej na życiu od ciebie... trochę dłużej to pożyłem... ale co sie tak od razu obrażasz?... mówie ci, że cie kocham... inaczej bym tak z tobą nie gadał... szkoda tylko, że u tego gurnia grobu bedziesz pilnował... klepki mu sie we łbie wszystkie rozpadły... ale płaci... no, to twoje zdrowie... nie jest źle... ja ci mówie, że wcale nie dla pieniędzy cie tutaj maluje... dla ciebie gratis, a że tamten dureń trochę na tym stracił, to tylko dobry uczynek... szybciej będzie demokracja... tak jak w niebie...

Z każdym tykiem język mu się bardziej plątał i coraz niebezpieczniej na czubku drabiny się wyginał, pędził mu z ręki wypadł, przybliżył się do Pana Jezusa, to znów oddalał, groził mu palcem, albo bił się w pierś, a potem się tak do niego zbliżył, że go nosem muskał i w końcu w te usta czerwone, przed chwilą pomalowane, go pocałował. Mówił jeszcze trochę z tym czerwonym odciśnięciem na ustach, aż kiedy butelkę do dna wysączył, to z drabiny zleciał i usnął w cieniu pod pomnikiem, akuratnie pod nogami Pana Jezusa, który od słońca go zastaniał. Tylko muchy brzęczały nad nim podejrzenie, ale nie mógł się już opędzić.

Pan Lapczywsky nadjechał niespodziewanie na bryczce powozowej przez koniuszego, która zaprzężona była w dwie gniade klacze. Koniuszy zeskokczył z kozła, aby podać rękę panu Lapczywskiemu przy schodzeniu, pan Lapczywsky oparł się o jego ra-

mię, po czym ostrożnie spuścił na ziemię prawą nogę i poprawił czarną opaskę na lewym oku. Ze swoim koniuszym był pan Lapczywsky związany uczuciowo i jego tylko z liczną przedwojenną służbą zachował do dziś przy sobie Pan Lapczywsky miał już sklerozę i nie pamiętał czasów przedwojennych, kiedy był prezesem „Polskiego Związku Miłośników Golfa i Krokietu”. Na przedwojennych polach golfowych urósł już kombinat, z tych czasów jedynie pozostał koniuszy i machinalny gest, tak jakby pan Lapczywsky kijem golfowym piłkę podbił, wykonywał go bez własnej wiedzy, kiedy wszedł na podwórko pana Listewskiego. Ruchem tym przestraszył bardzo panią Zenonę, która cofnęła się do tyłu, oczy wytrzeszczyła i na chwilę onieміała. Dopiero za moment zorientowała się w sytuacji i zaprowadziła pana Lapczywskiego do warsztatu. Koniuszy stał oparty o drzewo i ćwiczył się w spluwaniu przez zęby do celu i na odległość.

— Dzień dobry, panie Listewski.

— Dzień dobry, panie Lapczywsky.

Pan Lapczywsky wyciągnął rękę do pana majstra i podał mu trzy palce do uściśnięcia, co było oznaką pewnego szacunku.

— Panie Listewski, poproszę prospekty — powiedział pan Lapczywsky, nie ruszając się z miejsca.

— Prospekty skonfiskowali hitlerowcy — powiedział pan majster i szeroko rozłożył ręce. — Ale obędziemy się bez tego. Trumnę zrobimy wedle życzenia, wykwinną i z wszelkimi wygodami, może pan być spokojny, firma jest pewna.

— Mhm... poniekąd będzie to wymagało zastanowienia.

— Wedle życzenia — dodała pani Zenona. — Wedle życzenia.

— Niejednokrotnie człowiek znajduje się w skomplikowanych sytuacjach — mówił pan Lapczywsky drapiąc się za uchem. — Rzeczywistość jest nieobliczalna, rzeczywistość jest nieobliczalna...

— Co się panu w oko stało, panie Lapczywsky, zle przypadki chodzą po ludziach — ze współczuciem rzekła pani majstrowa i załamała rękę.

— Niech się pani o to nie martwi — odpowiedział pan Lapczywsky. — Nie jest to żadna zła przypadłość, lecz rzekłbym zabieg poddyktowany przez oszczędność.

Pani Listewska miała szeroko otwarte usta.

— Rzekłbym, jest to wyrachowanie i przedsiębiorczość, proszę pani — mówił pan Lapczywsky i zdjął czarną opaskę, mrugał okiem, które było zupełnie zdrowe, opaskę przełożył zaś na

drugie oko. — Trzeba się oszczędzać, proszę pani, członki i organa niszczą się przecież bezustannie.

— Zdobyłabie — powiedział do mnie pan majster. — Zrób panu przymiarke.

Podszedłem do warsztatu, z szuflady wyjąłem krawiecki centymetr i zbliżyłem się, aby zrobić odpowiednie pomiary.

— Z jakiego drzewa pan życzy? — zapytał pan Listewski.

Pan Lapczywsky stał wyprostowany, a ja przytknąłem miarę do jego nosa.

— Sto pięćdziesiąt siedem — powiedziałem w kierunku pana majstra, który trzymał w ręku specjalnie kupiony notes i cienko zaostrzony kłopiowy ołówek.

— Zyczyłbym sobie, aby zrobiona była z drzewa dębowego, pokrytego mahoniowym fornirem — mówił pan Lapczywsky.

— Wieko nakładane zwyczajnie, czy na zawiasy? — zapytał pan majster i notował dokładnie wszystkie życzenia.

— Na zawiasy, oczywiście, i żeby nie skrzypiały. Wie pan, to niszczy nerwy. — Pan Lapczywsky zamyślił się na chwilę. — Rozumie pan, potrzebny jest spokój i cisza, tutaj chodzi o odpoczynek.

— Czterdzieści jeden centymetrów — podałem odległość od ramienia do ramienia.

— Oraz zyczyłbym sobie — mówił dalej pan Lapczywsky — żeby wykładana była czerwonym pluszem, poduszka natomiast żeby była z zielonego atlasu.

— Zdobyłabie, weź w takim razie jeszcze obwód głowy.

— Ależ nie chodzi mi o czapkę — powiedział pan Lapczywsky i wykonał nagły ruch kijem golfowym. Pani Zenona odskoczyła na dwa kroki.

— Nie chodzi o czapkę, ale o poduszkę... pomiar jest konieczny — odpowiedział pan majster.

— Pięćdziesiąt sześć — powiedziałem.

— To wszystko. Na kiedy? — zapytał pan Listewski, chowając notesik do kieszeni.

— Wolalbym, aby pan się pośpieszył, rzekłbym — odpowiedział pan Lapczywsky. — Poniekąd oszczędzi mi to niepokoju.

— Będę się starał, panie prezesie, będę się starał.

Pan Lapczywsky skierował się do wyjścia, podał panu majstrowi trzy palce do uściśnięcia, wykonał szybki ruch kijem golfowym i wyszedł. Koniuszy pomógł mu wejść na bryczkę, po czym na odległość splunął z kozła cienką śliną, dwa metry przed gniade klacze, strzelił z bata i odjechał.

CZEŚĆ WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.

ZYGMUNT MARCZEWSKI

Dzwon Norwidowy

„Wieki potracąłeś jako grzyby w lesie” —
dzisiaj One — pielgrzymi — przywrócili

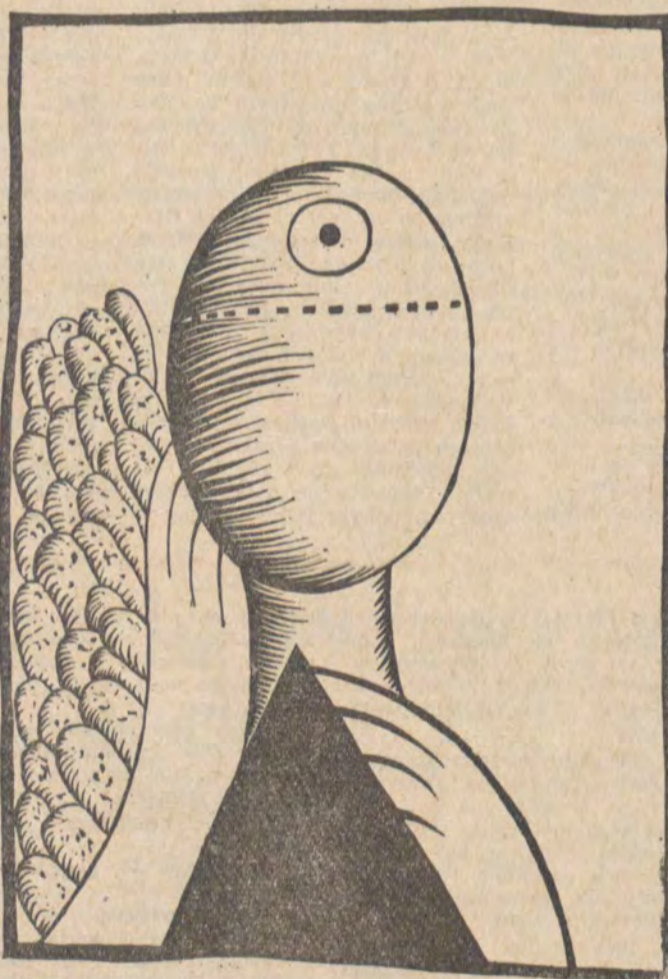
wrzesień
i niejedną Pamięć grzybną w doświadczenia —
W świetle Twego cienia wstyd nasz pozleleń.

Jakże Cię tu przyjąć gdyż zawczesnym gościem?
Uprzątnąć ze stołu sto pięćdziesiąt ości
sto pięćdziesiąt batów wymierzyć przeszłości —
zapomnieć Cię znowu byłoby najprościej.

Czy ten dzwon przestrogi rozhuśtany — milknie?
Czy zamieszkał w rękach; nakarmił Ubogich
Krzyżem się zrumienił a ludzi Odnowił — —
płodne swojskie lody choć słów tyle kwitnie.

Moje kry jak Arkł w nich płynę naprzeciw
praodwiecznej w kształcie Pospolitej Rzeczy.
Z głębin Iskry Ludzkiej, w chłodnej krwi człowieczej
Szukają pospolu zmarli lub poeci.
Twoja pieśń przylega łzami marmur leczy.

sierpień, 1971 r.



Stanisław Fijałkowski — „Nie oczekiwaleś tego po sobie”
(linoryt).

FELIKS RAJCZAK

Bezwiedny

Bezwiedny — przezeń przepływają soki
Tej ziemi, którą objął w posiadanie
I ją unosi ku niebu jak owoc
Dojrzewający na ramionach światła

Onże korzeniem łądygą i kwiatem
Człowiek roślinny — promienny niebieski
A jego droga wżyna się w wąwozy
I na równiny wybiega jak łania

Jeśli mu rękę podamy porośnie
Nasz proch w szkatulce — diament albo rubin
I po ostatnią kroplę tłącej woni
Będzie za nami w ślad stał pozdrowienia

Oto jak idzie — stania się do słońca
Syna księżycy kolebie powieka
A kiedy morza umrą na planecie
Dna ich ostoni przed pożarem wiatru

Ty mi go pokaż i z dzieckiem go osówł
I nie odmawiaj nam jego imienia —
Człowiek bezwiedny oparty o mury
Przemija lecz nie żebże nadaremno

„PORANEK WAGNEROWSKI”

W serii „Nuke” ukazał się tomik opowiadań Willi Cather (*), pisarki, która jeszcze za życia zaliczona do klasyków literatury amerykańskiej. Jest to trzecia książka tej autorki przełożona na język polski. Wcześniej ukazały się powieści: „Śmierć przychodzi po arcybiskupa” i „Dom profesora”.

Swoją twórczość literacką Willa Cather rozpoczęła od pisania wierszy, ale przychylną krytykę zyskuje dopiero wydany w roku 1905 tom opowiadań. Cather, która pracowała jako nauczycielka i dziennikarka, wiele podróżowała po Europie. Zamieszkała nawet osiedlić się we Francji, ale tęsknota za krajem okazała się silniejsza. Wraca i wydaje książkę „O pionierzy”, która z miejsca zdobywa szeroki rozgłos. Rozkwit jej twórczości przypada na lata 1913—1932. W roku 1922 za powieść „Jeden z naszych” zdobywa Nagrodę Pulitzera.

Bohaterowie opowiadań Willi Cather to osoby o idealistyczno-romantycznych postawach, nie przystosowane do życia w skomercjalizowanym społeczeństwie amerykańskim. Taką jest Klara — bohaterka opowiadania „Cze-

ska dziewczyna”, takim młody malarz z pełnego uroku opowiadania „Idę, Afrodyto!” i młody chłopiec ze „Sprawy Pawła”. Pełen spokoju, klasycznie czysty i piękny styl w jakim utrzymane są wszystkie zawarte w tomiku opowiadania sprawia, że ich lektura przynosi wiele satysfakcji.

B. M.

*) Willa Cather — „PORANEK WAGNEROWSKI”, Czytelnik, W-wa 1971, str. 277, cena zł 22.

PARKINSON PO RAZ TRZECI

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazało się już trzecie polskie wydanie „Prawa Parkinsona” i to w nakładzie sporym, bo blisko 40-tysięcznym.

„Prawo Parkinsona” — przypominają wydawcy — to ostra satyra na biurokrację, ujęta w formie traktatu naukowego, bardzo angielska, ale bardzo uniwersalna. C. N. Parkinson odkrywa prawa samoczynnego wzrostu biurokracji, wyszydza zachodni system parlamentarny, zachodnią demokrację a jednocześnie przeprowadza zabawne rozważania z dziedziny „komitetologii” i „sociologii”.

Matematyczne wzory, tabele i dane statystyczne niech czytelnika nie zrażają. To tylko zabawna ilustracja aby tekst utrzymany w naukowym stylu — w sumie jednak książeczkę Parkinsona czyta się świetnie i owe przekorne dodatki zwiększają tylko jej humorystyczne walory.

Humor to zresztą nieco gorzki, bo przecież Parkinson napisał prawdę, choć uczynił to w sposób tak zabawny. Współczyn-

nie wzrostu biurokracji jest rzeczywisty i nie ma na to żadnej rady. Stwierdza to smętnie autor pisząc: „Prawo Parkinsona jest odkryciem czysto naukowym, którego, poza teorią, nie można zastosować w aktualnej sytuacji politycznej. Ale nie do botanika należy wyrównanie zielska. Wystarczy, że powie, z jaką szybkością rośnie”.

J. W.

*) C. N. Parkinson „PRAWO PARKINSONA” Książka i Wiedza — 1971 wyd. III.

SŁOWNIK PISARZY — FILOZOFÓW

Wydanie tego słownika *) trzeba uznać za wydarzenie kulturalne. Ogłoszony w r. 1966 pierwszy tom „Słownika filozofów”, zapowiadający się tak ciekawie, nie doznał się kontynuacji. W tych warunkach wypuszczenie na rynek słownika pisarzy-filozofów polskich jest inicjatywą zasługującą ze wszech miar na uwagę. Księga dużego formatu, z hasłami ułożonymi alfabetycznie, obejmuje wszystkich (lub prawie wszystkich) filozofów dawnych i współczesnych, którzy uprawiali filozofię czystą lub tylko filozofowali. „Filozofia w Polsce”, jeśli chodzi o współczesność, nie uwzględniła pisarzy-filozofów żyjących, wskutek czego nie znaleźliśmy w słowniku nazwiska Tarkiewicza, Kotarbińskiego i innych. Redaktorzy wyszli z założenia, że uwzględnić należy tych autorów, których dorobek został zamknięty przez fakt śmierci. Nie jest zresztą wykluczone, że dołączymy się następnego

tomu, w którym redakcja sporządzi spis filozofów współczesnie żyjących starszego i młodego pokolenia. Autorzy „Słownika” położyli nacisk na analizę filozofii danego pisarza (i słusznie), mniej natomiast uwagi poświęcili stronie biograficznej. Wydaje się, że ta wstrzeźliwość poszła chwilami zbyt daleko. W niektórych wypadkach odczuwamy niedosyt informacji życiorysowych. Dotyczy to zwłaszcza filozofów dawniej żyjących, mniej znanych lub w ogóle zapomnianych. Na przykład: o Józefie Kodsowej chcielibyśmy wiedzieć nieco więcej, niż podano w słowniku. Była to jedna z pierwszych polskich filozofek z prawdziwego zdarzenia i szersza biografia byłaby tu jak najbardziej na miejscu.

Redaktorzy zaznaczyli we wstępie, że słownik taki ukazuje się po raz pierwszy i może zawierać luki. Zapewne. Ale nade wszystko cieszy fakt, że się ukazał. Jest to bowiem rzecz cenna dla wszystkich: profesjonalistów i amatorów, dorosłych i młodzieży. Należy sobie życzyć, aby w ślad za tym wydawnictwem poszły dalsze. Polska posiada stanowczo za mało książek o charakterze encyklopedyczno-słownikowym, na które istnieje ogromne zapotrzebowanie. Nie też dziwnego, że pojawienie się każdej pozycji udanej stanowi uzasadniony powód do radości.

J. K.

*) Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk: „Filozofia w Polsce — Słownik Pisarzy”, Ossolineum, Wrocław 1971 r., str. 456, cena zł 150.



KONSTANTY JOCZ. Rzeźba w drzewie — „Wojciech”.

„Rysunki i słowa” Wacława Kondka

UMIĘTNOŚĆ dostrzegania pośród zgiełku dnia codziennego rzeczy drobnych, na pozór białych, znaczących niewiele albo nie zgoła, okruszków, fragmentów, urzekających błyszczykami, wabiących wzrok i rozbudzających wyobraźnię

jak szkiełka stłuczonej butelki na śmietniku, luskające w słońcu pysznością kolorów, to cecha cenna i nieczęsto spotykana. Natura (a może życie) wyposażyła Wacława Kondka w ów dar radowania się małym, dar dostrzegania drobin, z

których składa się codziennie oglądany świat. Natura (a może życie) wyposażyła go w specyficzny zmysł humoru, trochę ludowy, trochę surrealistyczny, wyobraźnię bogatą i niespokojną, nieskrepowaną rygorami racjonalizmu, prawami grawitacji, tabliczką mnożenia. Dlatego okruszki, po które schyla się Kondek, stają się w jego alchemicznych reakcjach kruszcem najczystszy. Makulatura zamienia się w złoto. Odkrywając urodę i sens drobiazgow, przenosi je w inny wymiar, skłania do refleksji, inaczej każe spojrzeć na całość.

Odkrył Piotrkowską Kondek zaczynając od gzymsu, kraty w bramie, fragmentu schodowej balustrady. Odkrywa pałace fabrykantów, zaczynając od mozaiki parkietowej, od stiuku na suficie, od ocalałego cudem kawałka żyrandola. Odkrywa łódzką architekturę przemysłową, znajdując w jej fragmentach nie przeczuwane podobieństwa i zapożyczenia ze starej architektu-

ry obronnej, zamków, wieżyc, bram. Zajmuje go to, co stare, a stare zachowało się tylko we fragmentach, w okruskach, w drobiazgu. Ponadto fragment pozwala jego wyobraźni swobodnie budować całość wedle własnych prawideł i fantazji. Pozwala na frapującą, nie obowiązującą zabawę. Tak dzieje się na obrazach i rysunkach Kondka, tak dzieje się w jego pisaniu.

Współpracując w latach 1966—69 z „Odgłosami” Kondek zamieszczał tam artykuły w formie listów, bogato opatrzone rysunkami. Z tych listów-reportaży skompletowała się książka, wydana staraniem (bardzo staraniem) Wydawnictwa Łódzkiego. Książka nosi tytuł „Rysunki i słowa”. Trochę tu o Łodzi, o ludziach, o miasteczkach łódzkiego województwa. Dżwonek wszystko, jakby gdzie indziej się działo, a jednocześnie bardzo realne, znajome. Bo na konie okazuje się, że Kondek stwarzając pozory całkowitego oderwania się od rzeczywistości i realiów,

tkwi w rzeczywistości i realiach bez reszty. Ze życie toczące się wokół niego interesuje go i to bardzo. Tak bardzo, że czasami budzi w nim odruch rasowego społecznika oburzonego faktem, że coś ni-szczeje, że coś, co winno być otoczone opieką, opieki tej jest pozbawione. Budzi w nim instynkt satyryka i humorysty, widzącego nonsensy w stosunkach międzyludzkich, przywary bliźnich. Humorystą z Kondka jest tym sympatyczniejszy, że potrafi on spojrzeć przymrużonym okiem również i na samego siebie — jesteśmy jacy jesteśmy, a rzeczy wielkie składają się z okruszków i drobiazgow.

Książka Kondka jest dowcipna i pełna ciepła. Pełna troski artysty o rzeczy stare, łaknące naszej opieki. Warta przeczytania.

A.G.

Wacław Kondek „RYSUNKI I SŁOWA”, Wydawnictwo Łódzkie, 1971, cena zł 30,—

Przeszłość i teraźniejszość

Różne były koleje tematu Września w naszej literaturze współczesnej. Wstrząs społeczny był zbyt wielki, doznania zbyt okrutne, byśmy mogli od razu intelektualizować nasze przeżycia i wspomnienia. Stąd pierwsze jego literackie wcielenia cechował nadmiar gorzkości i żalu, że świat nie chciał być takim, jakim my pragnęlibyśmy go uczynić, że nie był taki, jak nam powiadano, jakieśmy sami mówili i wierzyli. Literatura obrachunkowa podejmowała więc rozprawę z nami samymi, rozdzierała nasze własne sumienia i nie zawsze troszczyła się o to, by jej sąd był w pełni wszechstronny i pogłębiony. I to właśnie drażni nas w książkach pisanych w tym okresie, na które dziś, z perspektywy upłynionego czasu spoglądamy inaczej niż wtedy, kiedy po raz pierwszy brałmy je do ręki.

Dla coraz większej liczby Polaków Wrzesień jest dziś nie tyle przeżyciem, ile historią. Niejeden uczestnik kampanii wrześniowej obserwuje z zaskoczeniem, że dla współczesnej młodzieży sprawy 1939 r. i okupacji są — jak spostrzegł to Jan Koprowski — „tak samo odległe, jak dla mego pokolenia pierwsza wojna światowa i dziewiętnastowieczny powstanie”. Ale przecież temat Września nie schodzi z kart literatury, nie przestaje się nim pasjonować historia. Czas zmienił jednak perspektywę, z której spoglądamy na tamte chwile, pozwolił przekroczyć psychologiczną barierę własnych przeżyć, spojrzeć w przeszłość spokojniej, a często bardziej wyrozumiale. Czas wydobyl wrzesień z ukrycia liczne fakty, informacje i szczegóły, udostępnił nam utracone na piśmie, na taśmie

filmowej czy w fotografii przeżycia i spostrzeżenia innych. Miejsce obrachunku na gorąco zajmuje powoli, zarówno w piśmiennictwie naukowym jak w literaturze pięknej, spokojniejszy, bardziej rozważny i lepiej udokumentowany osąd, świadczący o potrzebie nie tylko opisanja, lecz przede

tworzywo dla wszelkiego typu twórczości: największy w polskiej historii dramat, o wiele bardziej wstrząsający społeczeństwem niż rozbiory w XVIII wieku. Tamten świadomie przeżyła tylko garść Polaków, ten — w związku z rozwojem świadomości narodowej podczas dwudziestu lat nie-

wojną światową (...). Właśnie Wrzesień zadokumentował światu prawdę, że na to, aby Polskę trwale wyznaczyć z mapy, trzeba by zabić wszystkich Polaków”.

Przedmiotem rozważań R. Zielińskiego jest dramat, który stał się udziałem całego polskiego narodu, wszystkich jego klas i grup społecznych. Ale jest to jednocześnie dramat politycznych orientacji i na tym skupia się głównie refleksja autora. Ideą książki jest bowiem — jak powiada na jej wstępie R. Zieliński — wykazanie tej wrześniowej prawdy, że żadna z tradycyjnych formacji politycznych Polski międzywojennej nie była zdolna odwrócić wyroku, wszystkie bowiem były formacjami międzywojennymi i żadna nie przeczuwała, że Europa i Polska kończą się na Zbuczcu są tworem na okres życia jednego tylko pokolenia”.

Ogólnonarodowy dramat Września jest więc w ujęciu pisarza dramatem wszystkich Polaków: od o-

bozu rządzącego i składających się nań orientacji, przez opozycję związaną z Frontem Morges, do nauczyciela — komunisty i prostego polskiego żołnierza. Stara się bowiem R. Zieliński odsonić przeżycia, wahań i jakieś ulomne części z perspektywy dzisiejszej racje wszystkich, stara się ich zrozumieć gdy oni sami jakieś często rozumieć się nie mogli. Jeżeli się to pisarzowi udaje, jest to na pewno jego wielki sukces. Jest w tej książce wielu, bardzo wielu przegranych, bowiem było ich mnóstwo w tamtym Wrześniu, jest tragedia omylonych nadziei i bezprzykładnego bohaterstwa. Porusza to głęboko czytelnika. Jest jednak i inna nadzieja, ta, o której mówi w dramatycznym sporze z prostym żołnierzem nauczyciel-komunista: „Więc koniec z Polską? (...) Z tą, którą znasz, chyba tak — odpowiedział nauczyciel bardzo cicho. — Ale zobaczysz inną. Jeżeli dożyjesz...”

JOZEF GRZELAK

Wejście w mrok

wszystkim zrozumienia podległego bytu — dosłownie cały naród. Urzekający jest we Wrześniu i rozmiar dramatu, i siła idei niepodległości, i owocność owej tragedii. Uważam, że dzięki postawie Polaków zademonstrowanej w 1939 roku, wykluczającej pojawienie się nie tylko polskich Quislingów, ale również polskich Petainów, historia potoczyła się w sposób najmocniejszy, sądząc ją po ostatecznych wynikach kaktaklizmu zwanego drugą

Ryszard Zieliński, autor wydanej ostatnio przez Wydawnictwo MON opowieści dokumentalnej o wrześniu 1939, bo tak najogólniej należałoby określić jego książkę „Wejście w mrok” jest historykiem i pisarzem młodszego pokolenia, zafascynowanym wielkim dramatem naszego narodu sprzed 32 lat. Wrzesień powiada go — jak sam powiada — „jako niewyczerpane

Od czasu do czasu chlaśnie pod brzegiem ryba. Obżar-ta kaczka z trudem poder-wie się do lotu młocąc skrzydła-mi wodę. Bociany i czaple ster-czą nieruchomo wzdłuż brzegu, uśpione skwarem. Blyśnie naj-czystszą bielą lub soczystym żół-cieniem kwiat grzybienia, oran-żem zaplonie uschnięty liść koń-skiego szczawiu. Z gęstych szuwa-rów jak cień bezszelestnie wy-chynie płaskodenna pychówka ry-baka, taka sama jak sto, trzysta, pięćset lat temu. Po łąkach dzwonią kosy, a nocą dzwonią aż do bólu w uszach, aż do bólu w sercu, świerszcze.

O, jak dobrze przy ognisku sie-dzieć, piec srebrne ryby nanizane na patyk i słuchać jak oiszyzna w ogniu śpiewa. Leśni ludzie mó-wią, że to dusza drzewa wyzwolo-na przez ogień tak śpiewa, ula-tując z dymem.

O, jak dobrze odejść od ogniska i podnieść oczy na sierpniowe wygwieżdżone niebo, odczytać z położenia Wielkiego Wozu godzinę, zamamrotać pod nosem, nie-smiało słowa Andrzeja Bursy:

Miałem blyszczący fiński nóż
Z napisem „Made in Finland”
Gdy zmierzch podmiejskich śląg
Wzgórz

We flechtach krew tętniła

Bawola mogłem zabić nim
Ciąg na ognisko trzaski
A gdy się wióki już gesty dym
Rzeźbić psi łeb na lasce

Siedzę wpatrzonej w ognisko i myślę, że mój nóż zrobiony jest z niemieckiego bagnetu, który ojciec przyniósł z wojny. A drugi nóż, który mam ze sobą, wyto-czono kiedyś, dawno, ze złamanego szwedzkiego papieru. A ile obcej broni ta ziemia w sobie chowa? Nie było czasu przeku-wać jej na lemieszce...

Francja na przykład ma aż 60 proc. martwych rzek, a nam jeszcze do tej liczby trochę brakuje. Zastanowił mnie w wywodach inżynierów i dyrektorów przed-sięwzięcia ton optymizmu, gdy mówili o daleko posuniętych pra-cach nad polskimi filtrami. Prze-cież od ludzi z tytułem magi-strów, od ludzi zajmujących sta-nowiska dyrektorów można i trzeba wymagać rozumowania opartego na tabliczce mnożenia i najprostszych założeniach logiki. Od ilu lat zatrutowane są wody Polski — żyjemy bowiem w Pol-sce. Rzeki Francji interesują mnie dopiero na samym końcu — od roku, od dwóch lat? Od ilu lat pracuje się nad „polskimi fil-trami” — od roku, od dwóch lat? Francja ma 60 proc. rzek zatruty-tych, ale ma tak ostre przepisy, że liczba ta jest stała. Poza tym ma filtry. I Anglia ma filtry. I Związek Radziecki ma filtry. I filtry te można kupić, a my nad filtrami pracujemy od lat! Pracujemy na rajbretach nad filtrami i pozwalamy, aby umierały dzie-siątki kilometrów rzek, usychały hektary lasów. Jak to się dzieje? Ile lat trzeba będzie, aby te rze-ki ożyły, aby je zagospodarować od nowa? Ile lat i ile pieniędzy? Niszczenie przyrody jest dywer-sją. Jest sabotażem wymierzonym nie tylko w kieszeń kraju, ale i w jego kulturę. Fizyczne i mo-ralne zdrowie obywateli. J. J. Ru-seau pisał: „W pięknym kraju piękni ludzie żyją”. Tajemnicą publiczną jest, że są zakłady, w których dokonano prostej kalku-lacji — bardziej opłaca się pla-cić kary za zanieczyszczenie rze-ki, niż zainstalować filtry. Za tak-kie kalkulacje powinno się wska-zać do więzienia.

Inaczej się czyta o martwych rzekach, a inaczej jest, gdy się martwą rzeką płynie.

a nie z podręczników i Wawelu jedynie? Może wtedy nie byłoby martwych rzek, uschniętych la-sów.

Tykocin jest też innym symbo-lem, wulgarnym symbolem najszej polityki turystycznej — w pełni sezonu dom PTT-K w re-monce, knajpa obskurna z pi-wem i wódka jedynie, choć w stylu „nowoczesnym”. Kawiarnia w remonce... Ano, można i tak.

Przed Łomżą dopiero Narew nieco się oczyszcza. Kleń się rzu-ci. Nocami słychać jak biją plu-my. Ale na rzekę czeka inna pla-ga — niedzielni wycieczkowicze jak szarańcza spadają na jej brzegi. Przyjeżdżają polskimi fia-

„proszę”, „przepraszam” — po-zostawiają śmietnisko i ruinę. Jak-że chętnie widziałbym tych „oby-wateli” sprzątających brzeg rze-ki. Zbierających papiery, butelki, puszki po konserwach, oczywiste dowody swojej „kultury”. Za je-dno złamane drzewo kazałbym im sadzić hektar lasu. Może wte-dy cham jeden z drugim, posia-dacz samochodu, lodówki, mag-netofonu, tranzystora pojąłby, że trzeba wchodzić ze skupieniem, z czcią, z miłością do zieleni, błę-kitu nieba, wody Perswazja tych ludzi nie przekona — na nich trzeba bata. Którejś nocy, kiedy, grzałem się przy ognisku,

Pieśń stara. Słyszały ją lasy, których dawno nie ma. Obcyżaj nowy. A gdzie przkazanie har-cerskie, że będziesz kochał i szano-wał przyrodę? A gdzie ten drużynowy, co starodawne dzieje opowiada, a jutro nie patrzy? A gdzie wreszcie wychowanie oby-watelskie?

Wiersz Bursy o fińskim nożu tak się kończy:

W kąciach flechtów wieczór już
Leśni jak porzeczek krawawa
Ukradkiem z rdzy wycieram nóż
I między bajki wkładam.

Nasypałem talku do swojego wiernego składaka, aby się nie

ANDRZEJ GRUN

MARTWA RZĘKA



Waniewo nad Narwią — rysunek tuszem.

tami, syrenkami, moskwicami, trabantami. Ryk motorów i tran-zystorów. Śniadania na trawie z szampanem (sam widziałem!), z „żytnią” (to normalne). A kiedy wieczorem odjadą ci posiadacze samochodów, solidni obywatele tak chętnie i umiejętnie korzysta-jący z dóbr cywilizacji, uczący swoje dzieci mówić „dziękuję”,

doszła mnie zza rzeki śpiewana chórem, młodymi głosami pieśń:

Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowy jest wśród nas...

Harcerze rozbili nieopodal obóz. Popłynąłem tam rano. Har-cerzy już nie było — był śmiet-nik.

pozepliał. Zamykając go w piwnicy zastanawiałem się, czy syn mój nie włoży go czasem między bajki. Ja mam wspomnienia ze szlaków. Co on będzie miał?

No i przesyłam jeszcze, korzy-stając z okazji, najserdeczniejsze pozdrowienia wszystkim pracują-cym nad polskimi filtrami.

ZE WSPOMNIENI O JANIE SZTAUDYNGERZE

BYL w naszym świa-tku kimś osobliwie a-nachronicznym — przybyszem z odległej cza-sowo, podobno nigdy nie istniejącej Arkadii. Naiwnym świętym Franciszkiem i Dionizosem w jednej oso-bie. Ale Dionizosem rodem z naszego renesansowego, przez Czarnolas nobilitowa-nego epikureizmu. Wcale nie tym z misteriiw orfik-kich. Dionizosem — patro-nem drobnych, pięknych radości i trefnych żartów — bynajmniej nie nastroszo-nych przeciw kanoom ży-wota człowieka poczciwego. Był, powiedzmy to wreszcie, w wyznawanie, a sporady-cznie i formułowanej filo-zofii radosnej afirmacji ży-cia oraz w klimacie swych utworów — jakby epigonem renesansu. Był i w życiu, i w tym, co pisał, zaprzysię-żonym esteta. Mam tu na myśli estetyzm tradycyjny (choć rozciągnięty również i na sferę moralną). W tej dziedzinie wyjątkowo nie był tolerancyjny. Estetyki turpistyczne — od apaszow-skiej do hippisowskiej —

były mu szczególnie wro-gie i nienawistne. W życiu i dydaktyce pi-sarskiej Sztudyngera epi-

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Przybysz z Arkadii

kureizm bynajmniej nie klócił się z franciszkaniz-mem. Nie darmo przecież założyciela Zgromadzenia Braci Mniejszych skłonił jesteśmy umieszczać, nie tylko jako poetę, wśród prekursorów renesansu. La-two zresztą te umowne bie-guny praktykowanej filo-zofii autora *Antyfony o nie-śmiałej świętej* podporząd-kować wspólnej formule. Wystarczy, nie naruszając treści, nieco zlaicyzować de-

wizę minorytów. Zabrzmiał wtedy: CIESZMY SIĘ W ŻYCIU (rozumianym jako dobro i piękno).

Sztudynger pochwała wszelką radość, jaką niesie życie — owa Hebe z pełną czaszą, rada przychylić ją do ust każdemu. Wszelką — a więc i radość, jaką przy-nosi zdrowy śmiech. Zwła-szcza w odniesieniu do na-

nicy, zwłaszcza czytelnicki mentalności i wieku „ma-łych kobietek, którym i lu-sterko kłamie już też”, do tej „idei” sprowadził nie-mal całość zainteresowań i dydaktyki (Sztudyngera) radość z uprawiania tych rzeczy. Świadomie uży-wam okropnej peryfrazji, w której eksponuje się z całą wyrazistością dusłka pru-deria jej mieszczańskiego wynalazcy.

Zatem wszelką radość... Ale czy wszelką?

Tylko ta, która nie speł-nia się kosztem krzywdy innego człowieka i ładu spo-łecznego, która jest zgodna z pięknym pojęciem jako odbicie ładu naturalnego. Ze świecą nie znajdziemy wśród najfrywolniejszych nawet epigramatów autora *Szumowin* zachęty do nieliczenia się z czyjąś osobo-wością, wolną wolą, godno-ścią ludzką, do rozbijania trwałych układów między-ludzkich, do nadużywania życia. Jeśli tego humoryste i uroczego dydaktyka — bo rozśmieszanie i uwrażliwianie na piękno są jedynymi alternatywami Sztudyngerskiej twórczości — na-zwałem Dionizosem, to jest to, wbrew rozhukanemu i rozpustnemu nieprzytomnia-kowi z *Narodzin Tragedii* Nietzschego, właśnie Dion-

zos zbratany na śmierć i ży-cie z patronem ładu w na-turze — Apollinem. Wszel-kie odstępstwo od tego ładu naturalnego jest szpetotą, której Sztudynger, łagodny zazwyczaj i poczciwie tole-rancyjny dla słabości ludz-kich, był nieprzejednanym wrogiem. Nie nosił i zwalcz-zał w życiu i w utworach hulaków, chamów wszelkiej maści i szczebli społecznych, i brudasów, w szerokim znaczeniu tego słowa — fizycznym i psychicznym. Nawet pałacy niełatwo się mieścił w świecie Sztudyngerskiego ładu. Wprowa-dzenie dymu do cudownie urządzonego przez naturę wnętrza organizmu, zatr-uwanie nim siebie i otocze-nia gwałciło do żywego je-go poczucie estetyczne. Mea culpa, gdyż mój (teoretycz-nie jak najbardziej solida-ryzowałem się z nim) wstrętny nałóg mocno kom-plikował nasze kontakty i nieraz zmuszał obie strony do krańcowego samozapar-cia.

Sztudynger był zawsze niezwykłe schludny, nie po-zwalał sobie na żadne za-niedbania w ubiorze, uch-ybienia w grzeczności, na żadną wulgarność w sposobie bycia. W trosce o szerszej i węższej pojętej czystości świa-tła otaczającego byłwał cza-sem agresywny, np. w

tramwajach łódzkich. A na-wet komiczny. Mam na my-śli manifestacyjne oprząty-wanie ulic, którymi prze-chodził, z papierków i nie-dopałków bezrosko rzuca-nych przez ordynusów wszelkiej maści. Nieustają-cej też kampanii służył i wiersz. Ileż to dźwięcznych dystychów poświęcił wła-snie lajanemu „śmiejącym psubratów”. „Trudne słów-ko przepraszam nieznane jest w Łodzi, Pomarańcz i grzeczności bruk łódzki nie rodzi...” — piętnuje w zna-nym wierszyku odpychający (też i dosłownie) sposób by-cia, dość charakterystyczny dla łódzkiej ulicy, a zwła-szcza tramwajów. „Młodzieńcze, rówieśników na-mów, Aby mniej dobrze grał chamów” — apeluje do rycerzy deptaków — „Ach, ta łódzka nieludzka łacina! Ciągłe się człowiek na nią nacina” — reaguje w jednym z wielu epigra-matów na nowy obyczaj Sarmatów wymiłowania słowami.

Nie znaczy to, jak wiado-mo, by Sztudynger był wrogiem wszelkich obscen-ów wszędzie i zawsze. Znał różnicę urodę słowa, w tym i słowa jurnego — tak jak znał ją ludzie re-nesansu: Rej, przede wszy-stkim Kochanowski. Zasz-kował przecież rodzimych

„Rachunek nieprawdopodobieństwa”

czyli
czy komputer
będzie
komponował
piosenki
dla Sopotu?



Scena zbiorowa: Nina Król (Magda), Janusz Krawczyk (Adam), Henryk Józwiak (Piotr), Marek Kołaczkowski (Bob) i Maciej Małek (Marek).

Fot. FR. MYSZKOWSKI

Nie, nie! Z góry się zastrzegam: nie chodzi tu o jeszcze jeden głos w dyskusji nad tegorocznym Festiwałem Piosenki w Sopocie. Nie czuję się do tego powołany. (Dziwne wyznanie, prawda? Zdawałoby się, że w sprawie piosenek w Sopocie wszyscy są kompetentni!) Po prostu nawiązuję do treści komedii Jerzego Jurandota „Rachunek nieprawdopodobieństwa”, która oglądać możemy w Teatrze „7.15”.*)

A więc wróćmy do pytania, czy maszyna matematyczna, czyli mówiąc z obca komputer, może komponować muzykę i układać teksty piosenek! Komponować muzykę odpowiednio zaprogramowany komputer umie. Mówi nam o tym jedna z bohaterok „Rachunku nieprawdopodobieństwa” Magda: (cytuje) „Pierwszy utwór: „Suita na kwartet smyczkowy” Hillera i Isaacsona, partyturę przygotowała maszyna Iliac, znajdująca się na uniwersytecie Urbana, stan Illinois. Potem „Wariacje na tembr i atak”, autor J. R. Pierce i maszyny cyfrowe IBM 704 i 7090 ze specjalnymi urządzeniami do komponowania”.

Tyle Magda. Od siebie dodam, że automat Kalliope, skonstruowany przez twórcę tzw. zwierząt cyber-

nicznych A. Duroqa, był w stanie komponować poezję, malować obrazy abstrakcyjne i realistyczne itp. Maszyny cybernetyczne skutecznie zastępują więc owa pocziwłą krowę, której przed pół wiekiem futuryści przywiązali pedzel do ogona i postawili tyłem do płótna na stalugach, po czym powstały w ten sposób obraz wystawili w galerii malarstwa ku zachwytowi krytyków.

Wyjaśniliśmy więc już sobie, że automaty posiadły sztukę komponowania muzyki. Problem polega jednak na tym, że piosenka to muzyka plus tekst. Tekst musi się z muzyką wzajemnie dopasować. I ten właśnie problem usiłuje rozwiązać w komedii Jurandota Profesor wbrew swemu synowi Markowi, członkowi zespołu beatowego „Bombersi”.

Niech się przypadkiem ktoś nie zleknie, że komedia Jurandota ma charakter popularnonaukowy! Nie, jest ona po prostu zrecznym żartem na tematy bądź co bądź aktualne. Czy jesteśmy muzykalni, czy też przysłowiowaliśmy się nadepnąć nam na ucho — wszystko jedno! Wszystkich nas nęka pasjonowanie się piosenką i piosenkarstwem jak chroniczny katar.

Rodzima twórczość, zachęcona intratnymi tantemami, krzewi się bujnie. Parę dni temu słyszałem w radiu zespół młodzieżowy śpiewający piosenkę, której stałe powracający motyw tekstowy brzmiał:

„wczesną wiosną
trzymaj mnie mocno!”

Rym lichy, ale wykrzyczany na tle agresywnych gitar jakoś oblec. A tantemmy w ZAIKSie takie same jak w tekst Osieckiej, czy Fickowskiego. Więc tworzy piosenki kto żyw. Kto żyw? Dlaczego wobec tego nie ma ich tworzyć nieżywy automat? Wiosna, trzymaj mocno? Tak z tego tekstu chyba nawet martwa maszyna nie wykonocypuje.

Ale to moje własne refleksje na marginesie sztuki Jurandota! W samym „Rachunku” sprawa nie jest potraktowana problemowo. Po prostu kupa śmiechu z konkurencji między snem — długowłosym i ociem — cybernetykiem. Mało kto potrafi u nas tak smacznie przyprowadzić lekką, wodewilową komedię, jak stary mistrz tego gatunku — Jerzy Jurandot. Można więc śmiało zarzykować pójście do Teatru „7.15” pod warunkiem, że nastawimy się na beztrudną zabawę i że

w „Rachunku nieprawdopodobieństwa” nie będziemy szukali recepty na rozwiązanie trudności wychowawczych, jakie miewamy z naszą młodzieżą.

Sztukę wyreżyserował z akcentem na tempo, ruch i czytelne podawanie dowcipów Feliks Zukowski. Melodie piosenek skomponował niezawodny Jerzy Wasowski. Wszyscy wykonawcy czują się znakomicie w tym wesołym komediowym klimacie. Na szczególne wyróżnienie zasługuje jednak moim zdaniem Nina Król jako Magda, która wnosi do przedstawienia wiele życia, werwy i autentycznego humoru.

Konsekwentna i bardzo zabawna postać asystenta Gustawa przedstawił nam Krzysztof Różycki. Ponadto występują: Bohdan Wróblewski (Profesor), Lena Wilczyńska (Beata), Maciej Małek (Marek), Marek Kołaczkowski (Bob), Janusz Krawczyk (Adam), Henryk Józwiak (Piotr), Bożena Darłakówna (Pani docent) i in.

*) Teatr „7.15”: Jerzy Jurandot „RACHUNEK NIEPRAWDOPODOBIENSTWA”, muzyka — Jerzy Wasowski; reżyseria — Feliks Zukowski; scenografia — Ewa Sobótowa; opracowanie muzyczne — Piotr Hertel; choreografia — Barbara Fijewska.

STUDIUM UDRĘKI I SAMOUDRĘKI

Teatr Telewizji na Świecie, program umożliwiający nam pewne konfrontacje różnej produkcji telewizyjnej — z którą stykamy się na co dzień — z produkcją zagraniczną, przyniósł nam ostatnio sfilmowane widowisko telewizji słowackiej „Lagodna” (3. IX. br., reż. Stanislav Barabas).

Opowiadanie Fiodora Dostojewskiego pod tymże tytułem (w innym przekładzie: „Potulna”) nie należy do szczytowych osiągnięć wielkiego pisarza, a przecież niepokoi i kordci reżyserów swoim dramatycznym napięciem. W ostatnich „Konfrontacjach” pokazywany był film Roberta Bressona oparty na tejże noweli, transponowanej wprawdzie na stosunki francuskie i we współczesność. Również Telewizja Polska prezentowała już adaptację studyjną „Lagodnej” z Aleksandra Śląską w roli tytułowej.

Nie będę jednak wdawał się w porównania, które łatwo rozsądziłyby ramy tego felietonu. Pozostanę przy edycji telewizyjnej z Bratisławy, którą mam w pamięci na świeżo, zestawiając ją jedynie z pierwowzorem literackim. Od niego zresztą zacząć wypada.

Dostojewski opatrzył „Lagodną” w podtytuł „Opowieść fantastyczna” i we wstępie wyjaśnił, co przez to ma na myśli. Bynajmniej nie fantastykę w dzisiejszym potoczonym rozumieniu tego słowa. Autor określa sytuację wyjściową opowiadania: pewien człowiek nad ciepłymi jeszcze zwłokami żony-samobójczyni próbuje wytłumaczyć sobie samemu, co było przyczyną jej desperackiego kroku. Gdyby wyobrazić sobie, że jakiś stenograf notuje słowa wypowiadane do siebie przez bohatera i że potem owa nieuporządkowana spowiedź odtwarza się ze stenogramu na papierze, to efekt byłby idealnym, do jakiego Dostojewski zmierzał przy pisaniu tego opowiadania.

Ale, mówi Dostojewski, nie ma stenografów, którzy notowałyby w dramatycznych momentach tok myśli ludzkiej, więc i „Lagodna” jest tylko czystą fantazją, czy może lepiej powiedzieć: fikcją literacką.

Dostojewski żył w XIX wieku, a przecież w tym skromnym wstępie do „Lagodnej” wydaje się być prekursorem surrealistów i ich metody pisarskiej zwanej automatycznym zapisem skojarzeń myślowych (André Breton), lub strumieniem świadomości. Bohater „Lagodnej”, właściciel lombardu (autor nie wyposażył go w imię ani nazwisko), wygłasza przed nami monolog wewnętrzny, niewyglądony, bez kosmetyki literackiej, niezbyt ściśle przestrzegający reguł chronologii.

Myślę, że właśnie to prekursorstwo Dostojewskiego czyni opowiadanie tak bardzo współczesnym i tak trapiącym dla adaptatorów. Nie sprzeniewierzając się autorowi, można wprowadzić do adaptacji ekranowej elementy nowoczesnej narracji filmowej. Skoro więc w pełnych napięcia momentach postać żony — „lagodnej” (także nie znamy jej imienia) wydaje się jakby płynąć w zwolnionych ruchach, lub gdy pewne sceny rwą się, powtarzają po kilka razy od nowa, to wszystkie te figury stylistyki filmowej usprawiedliwione są wstępnym założeniem Dostojewskiego.

Przecież nie uczestniczyliśmy w wydarzeniach. Te już się odbyły i zakończyły wraz ze śmiercią żony. Mamy do czynienia tylko z ich odzwierciedleniem w psychice narratora. A w psychice ludzkiej realne życie ulega subiektywizacji i zdefiniowaniu, różne warstwy przeszłości zalegają obok siebie i nie chronologia a ciąg skojarzeniowy nadaje im kolejność.

Jednocześnie jednak film Barabasa nie dorównuje oryginalności literackiej w jego analizie udręczenia i samo-udręczenia, którego ofiarą padło dwoje ludzi. Scena gwałtu (ukazana zresztą na ekranie efektywnie i kulturalnie) dokonana przez narratora na własnej żonie została Dostojewskiemu dopisana. Ulegając modzie ukazywania drastycznych scen seksualnych, reżyser spłycił i zwulgaryzował motyw, które pchnęły „lagodną” do samobójstwa.

Reżyser dopisał zresztą Dostojewskiemu także inne rzeczy (np. sceny z damą lekką prowadzenia, z którą narrator przed małżeństwem utrzymywał intymne stosunki, lub epizod z niedorozwiniętym parobkiem, którego narrator prosi na świadka na ślub). Te uzupełnienia wypadły jednak w stosunku do pierwowzoru pasko.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Luis Bunuel już dwukrotnie zapowiadał swe odejście od filmu. Mówił o tym po „Piękności dnia” i po „Miecznej drodze”, po czym zrealizował „TRISTANIE” — ostatnie swe dzieło? Robi ten film wrażliwie testamentu, lecz jednocześnie pozostaje świadectwem tak wielkiej aktywności intelektualnej i artystycznej, że trudno uwierzyć, że miałby to być naprawdę ostatni film wielkiego Hiszpana.

Jeśli mówić o „Tristanie” jako o swolnym testamencie, to widzieć w tym filmie sumę motywów i środków artystycznego wyrazu dla Bunuela zawsze najistotniejszych, to jednak także, widzieć w tym filmie całą wiedzę o świecie i ludziach, mądrość, którą osiągnąć można gdzieś u schyłku życia. Nie ma w „Tristanie” drapieżnego, gwałtownego, bezkompromisowego Bunuela. Opowiada nam tę historię artysty, dla którego człowiek nie jest już tajemnicą, który zna wszystkie grzechy świata — ukazuje je jednak już spokojnie i z rozważą. Nie znaczy to, że jest dla nich wyrozumiały. Zmienił tylko tonację wypowiedzi — bunt i sprzeciw zastąpił gorzkością i refleksyjnością, smutną zadumą nad życiem.

Przy „Tristanie” nie sposób nie wspomnieć „Viridiany”, zrealizowanej dziesięć lat wcześniej. Będą tacy, którzy przy okazji tego porównania zapytają o dawną pasję Mistrza, ale czyż „Tristan” jest lagodniejsza? Jeśli tak, to tylko w środkach wypowiedzi, nie zaś w wymowie ostatecznej. Tak, jak ongi w „Viridianie”, czy „Aniele zagłady”, tak i w „Tristanie” Bunuel oddaje pod osąd świat ludzi bogatych, pozostaje sędzią ich moralności, demonstrowa swój antyklerykalizm, dociera do najtajniejszych zakamarków ludzkiej duszy.

Jest jednak w „Tristanie” coś, co otwiera jakby nową perspektywę w twórczości Luisa Bunuela. Bunuel chyba po raz pierwszy nie tylko człowieka sądził, szuka dlań również ratunku. W jego twórczości już dawno Bóg, a także wiara, przestała być człowieczą szansą, szuka jej w „Tristanie” Bunuel w dwu najbardziej ludzkich, bo najbardziej przez ludzi podtrzymywanych mitach — w legendzie o Tristanie i Izoldzie i legendzie o Faule. Splatając je obie, prowadzi do finału tragicznego, który dotyczy jednak nie tyle rozwiązania życiowych losów bohaterów filmu, choć sama fabuła i na to

wskazuje, ile destrukcji moralnej bohaterów. Ratunku w miłości, mogącej być siłą zarówno młodości jak i starości, Bunuel nie znalazł. Pozostają ludzie niejako na siebie skazani zarówno w uwikłaniu życiowych losów, jak namiętności i marzeń, których nie osiągnęli. Kłębka miłości jest tym bardziej gorzka, że ma ona w tym filmie wiele imion, żadne nie będzie ratunkiem moralnym, wszystko zaś złudzeniem. Na placu pozostaje ludzka małość, a nawet nikczemność.

Wszystko to pokazuje Bunuel w sposób daleki od tego, do czego nas przyzwyczaił. Mądrość starości pozwala mu na obiektywizm daleki od dawnej gwałtowności, demaskatorskiej pasji. Widzi w swych bohaterach i zło i dobro, ich osobiste racje, widzi ich w życiu samym. Daleki jest jednak od wyrozumiałości, życia ich nie tłumaczy. Pokazuje je tylko, smutnie zadumany nad koniecznością jego moralnej klęski, bo ratunku nie ma. Jego rozważaniem przedstawionym z absolutną prostotą narracji towarzyszy cudowna, nostalgiczna i głęboka kolorystyka obrazu, którą wnosimy pod powiekami z kina. Dominuje w niej orcha i brąz. Wnosimy obraz piękne-

go Toledo i świadomość wielkich kreacji aktorskich Catherine Deneuve i Fernando Reya.

Na powitanie roku szkolnego CWF przygotowała film, który dzieciom i szkole może się podobać mimo swego uproszczonego i naiwnej dydaktyki. „WŁADCA GÓR” to film składający się z trzech nowel, w których reżyser, Borys Dolln, uczy swych młodych widzów rozumieć i kochać przyrodę. Trzy opowieści o ludziach i zwierzętach mogą się podobać, bo nie tylko uczy i wychowują, ale i wzruszają. Główni bohaterowie filmu — niedźwiedź, jeleni i bociany — przeżywają swe dumne i smutne życie w spotkaniu z człowiekiem, który bywa dla nich bądź przyjacielem, bądź śmiertelnym wrogiem. Dolin ładnie fabularyzując swą opowieść, uczy młodych widzów właśnie przyjaźni i rozumienia praw przyrody. Wykorzystuje piękno pejzażu, podpatruje zwierzęcych bohaterów, gorzej radzi sobie z wprowadzeniem w ich świat człowieka. Całość łączy jednak nastrojem i emocją, sprawdzającą się w kontakcie młodych odbiorców z filmem.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NOWE KSIĄZKI PISARZY AMERYKAŃSKICH

Pisarze amerykańscy, których powieści były w swoim czasie światowymi bestsellerami publikują obecnie swe nowe dzieła. I tak Herman Wouk w listopadzie br. wydaje grubą, dwutomową powieść, której tematem jest druga wojna światowa.

Przypomnijmy, że Herman Wouk (ur. w 1915 w Nowym Jorku, z pochodzenia Rosjanin, służył w latach 1942-48 jako oficer marynarki na Pacyfiku. Życie na morzu znalazło swe odzwierciedlenie w jego głośnej książce pt. „Bunt na okręcie” (1951). Dużym sukcesem cieszyła się powieść Wouka i jej adaptacje filmowe i sceniczne: „Huragan na Caine”. Z dużym talentem napisał też powieści satyryczno-obyczajowe jak: „Aurora Dawn”, „Marjorie Morning-



Mary McCarthy

star” i „Younblood Hawke”. Interesującą też pozycją jest jego powieść oparta na własnej biografii pt. „The City Boy” (Chłopiec w wielkim mieście) o losach jedenastoletniego chłopca na bruku Nowego Jorku.

John Updike (ur. 1932) wydaje powieść będącą czymś w rodzaju dalszego ciągu słynnej, wydanej w roku 1960 powieści pt. „Rabbit, Run” (Biegnij, króliku), w której odmalował udrękę życia rodzinnego ludzi, którzy wzajemnie zadają sobie ból, by wreszcie popaść w natóg ciężkiego alkoholizmu.

John Updike debutował w roku 1958 zbiorem poe-

zji pt. „The Carpentered Hen” (Wyrzeźbiona kura). Uznane jednak zdobył sobie dopiero swymi powieściami „Święto w przytuliku” i „Biegnij, króliku”. Ponadto wydał kilka zbiorów opowiadań i powieści. Polskiemu czytelnikowi znany jest głównie z powieści pt. „Centaur” i „Farma” oraz zbiorów opowiadań pt. „Golebie pióra” i „Szkoła muzyczna”.

Mary Therese McCarthy (ur. w 1912 roku) napisała nową powieść pt. „Amerykańskie ptaki”, której tematem jest życie amerykańskiego studenta. McCarthy debutowała zbiorem nowel pt. „The Company She Keeps” wydanym w roku 1942. W roku 1949 wydała pierwszą swoją powieść pt. „Oaza”, rodzaj satyry na pewien typ moralności i sposobów myślenia. Napisała ponadto wiele opowiadań i kilka powieści m. in. „Wspomnienia z lat katolickiej młodości” (wydana u nas przez „Czytelnika” w roku 1968). Książka ta oparta jest na jej własnych przeżyciach.

McCarthy na początku lat sześćdziesiątych przebywała jako żona dyplomaty amerykańskiego w Polsce. W roku 1967 przebywała w Wietnamie Południowym ogłaszając cykl reportaży, w których napiewnowała amerykańską agresję. McCarthy jest ponadto esetką i krytykiem teatralnym oraz wnikliwą reporterką.

WYSTAWA PLASTYCZNA W TRAMWAJU

Władze miasta Moguncji w NRF urządziły po raz pierwszy wystawę obrazów w tramwaju. W dwóch wagonach linii II, przebiegającej długą trasą poprzez miasto, rozwieszono dzieła obrazów studenta sztuki artystycznej, Reinera Zimmermanna, który w bieżącym roku otrzymał od miasta Moguncji nagrodę w wysokości trzech tysięcy marek.

Wystawę w tramwaju urządzono, aby „nawet tym obywatelom, którzy unikają drogi do muzeum i galerii obrazów udostępnić sztukę”.

„MOJE SZALEŃSTWA OPLACAJĄ SIĘ...”

Paryski marszand Aimé Maeght, który siedem lat temu założył, dziś już słynną, Fundację Maeght w Saint-Paul-de-Vence projektuje urządzenie teatralnego „Światowego awangardowego centrum” wyposażonego w najnowsze środki techniczne. Koszt wyniósłby około miliona franków, co nie przeraża fundatora. „Moje szaleństwo oplacają mi się w końcu” — twierdzi 63-letni Maeght.

PRETENSIJE O GŁOS

Katherine Hepburn nie zna kobiety, która ma taki sam jak i ona głos, ale wystąpiła o odszkodowanie w wysokości czterech milionów dolarów od firmy reklamowej, która wybrała spikerkę imitującą głos i akcent słynnej aktorki dla reklamowania... śledzi w marynacie.

GRAFIKA MONGOLII

Działo się to bardzo dawno temu. Bledny pastuch miał ulubionego konia, który był szybki jak wiatr, silny jak wielbłąd. Ale pewnego razu zdechł ów koń. Pastuch rozpoczął i oplakiwał go rzewnymi łzami. Wtedy to zjawił się dobry duch w postaci przepięknej dziewczyny i kazał pastuchowi wyrzeźbić z drewna sandałowego głowę je-



G. Soosoj — Spacer zimowy

go konia, przyczepił ją do pudła, a na pudło to naciągnął kilka włośów z ogona padłego konia. Tak powstał muzyczny instrument. Przeciągnął pastuch smyczkiem po tym instrumencie i usłyszał znajomy głos swego ulubieńca. A instrument odąd nazywał się „morichur” co po mongolsku znaczy głos konia. Tę prastarą ludową opowieść zilustrował w serii linorytów mongolski artysta L. Batsuch.

Numer 7 miesięcznika „Iskusstwo” przyniósł m. in. interesujący artykuł N. Koczeszkowa o grafice mongolskiej. Grafika ta zajmująca poczesne miejsce w sztuce Mongolii ma swe bogate tradycje. Początkowo służyła ona do ilustracji odręcznych pisanek świętych ksiąg buddyjskich jakże sporządzano w klasztorach. Księgi te zdobiono miniaturami i ornamentami, opracowano w drzewo sandałowe rzeźbione i inkrustowane złotem, srebrem i drogimi kamieniami.

Po Rewolucji 1921 r. w Mongolii, grafika znajduje szerokie zastosowanie w plakacie propagandowym. Jeden z wybitnych artystów starszego pokolenia D. Luwsanzame wprowadza do współczesnego plakatu elementy tradycyjne zarówno barwne jak i ornamentacyjne zgodne z przyjętą

od wieków symboliką. Znaczący przy tym, że czerwona barwa symbolizuje radość, zwycięstwo,



Ł. Batsuch — Legenda o morichurze

niebleska — werność ojczyźnie, złota zaś wielką miłość. Nie tylko barwy, ale i linie mają także dla Mongołów znaczenie symboliczne i tak np. linie przypominające obłoki oznaczają szczęście, a linie lotosu jest symbolem czystości myśli i szlachetności postępowania.

W czasach porowolucyjnych grafika obok plakatu służy także przy ilustrowaniu książek i czasopism, a ponadto poszerza się o nową dziedzinę — satyrę polityczną.

W roku 1934 powstaje miesięcznik poświęcony plastyce w Mongolskiej Republice Ludowej. Lata 50 i 60 naszego wieku zaznacza się ogólnym dynamicznym rozwojem sztuki

mongolskiej i choć grafika gra wciąż najważniejszą rolę, rozwijają się i inne działy plastyki jak malarstwo akwarelowe czy sztuka wycinank ludowych o bardzo ciekawej, bogatej ornamentyce. Uprawiane jest również malowanie na jedwabiu, w latach 60 bardzo popularne stało się linorytnictwo.

Niektórzy malarze wierni pewnym formom tradycyjnej sztuki ludowej ograniczają się w swej twórczości do stosowania dwóch barw jedynie: ciemnoniebieskiej dla tła i złocistej dla przedstawianych postaci ludzi czy wizerunków zwierząt. Dzieła takie charakteryzują się specyficzną skrótością i syntetycznym ujęciem, stanowiąc

działa niezwykle oryginalne w naszym, — pisze Koszczekow o plastykach mongolskich — artyście byliby samoukami, a w najlepszym przypadku przechodzili podstawowe kursy plastyczne w klasztorach, to w dzisiejszych czasach wielu mistrzów mongolskiej grafiki posiada średnie wykształcenie artystyczne, a niektórzy z nich chlubnie ukończyli naukę w artystycznych instytucjach Związku Radzieckiego”.

Wpłynęło to na sprawność artystyczną i techniczną, jak i na poszerzenie i wzbogacenie tematyki grafiki mongolskiej, która wciąż jest najbogatszym działem sztuki plastycznej w Mongolii.

POLONICA

WAJDA W NRF

Andrzej Wajda znajduje się obecnie we Frankfurcie nad Menem, gdzie kręcił film dla drugiego programu telewizji zachodniemieckiej. Scenariusz pt. „Pilat”, oparty na motywach znanej powieści Bulgakowa „Mistrz i Margareta” (istnieje przekład polski), a występują w nim m. innymi Daniel Olbrychski i Marek Perepeczko.

W dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (z dnia 28 sierpnia br.) Brigitte Jeremias zamieszcza obszerny artykuł o Wajdzie, odtworzony z tekstu Jeremias pisze, że Wajda, po powrocie do Polski, ma zamiar rozpocząć pracę nad filmem „Wesele” według dramatu Stanisława Wyspiańskiego, a następnie przystąpi do realizacji filmu wg powieści Reymonta „Ziemia obiecana”.

Na zapytanie dziennikarki, który ze swoich filmów uważa Wajda za najbliższy sobie, reżyser polski odpowiedział: „Pilata”, wszystko inne mam już poza sobą”.

SPRAWY POLSKIE W „FILMSPIEGEL”

W 17 numerze dwutygodnika „filmspiegel” (z dnia 18 sierpnia br.), który ukazuje się w Berlinie (NRF), znajdujemy sporo materiałów o filmie polskim. Wiele przede wszystkim reportaży z realizacji filmu o Koperniku pod kierunkiem Ewy i Czesława Petelskich. Jak wiadomo w filmie tym rolę główne kreują: Andrzej Kopiczyński (Kopernik) i Czesław Wollejko (Łukasz Wazzenrode). Ale biorą w nim również udział aktorzy niemieccy: Klaus-Peter Thiele, Hanjo Haase i Angelika Ritter. Reportaż zawiera wiele ciekawych zdjęć z kręconego właśnie filmu. W tym samym numerze „filmspiegel” możemy przeczytać informację o interesującym filmie węgierskim, w którym główną rolę gra Beata Tyszkiewicz. Wreszcie w zapowiedziach „Ze świata filmu” notatka o realizowanym w Warszawie filmie wg noweli Adolfa Rüdnickiego „Książę na jedno lato” z Beatą Tyszkiewicz i Czesławem Wollejko w rolach głównych.

J. K.

AURORA

W 7 numerze leningradzkiego miesięcznika „Aurora” znajdujemy akcenty polskie, związane prawdopodobnie ze Świętem Odrodzenia. Miesięcznik drukuje wiersze polskich poetów: Mieczysława Jastruna, Witolda Dąbrowskiego i Marka Wawrzkiewicza w przekładach Wiktora Kuprijanowa, Siergieja Tchórzewskiego i Leonida Cywiana, opatrzone publikacją krótkimi notami biograficznymi autorów i tłumaczy. Na marginesie warto zaznaczyć, że polska poezja kontynuuje cykl prezentacji poezji różnych narodów, który to cykl rozpoczęła Aurora od Austrii; wybór polskich poetów ukazał się jako druga publikacja.

W tym samym numerze miesięcznika znajdujemy esej Inny Prussakowej pt. „Historia Zbyszka Cybulskiego, nie przez niego opowiedziana”. Esaj ten, „spowodowany” listem czytelnika będącego pod wrażeniem filmu, wnikiwie analizuje cieszące się w Związku Radzieckim ogromnym powodzeniem dzieło Andrzeja Wajdy „Wszystko na sprzedaż”.
Maw.

POLONICA



G. Soosoj — Galopujące konie (Wykonanie w dwóch barwach na jedwabiu).



ZASTĘPCA SZEFA D/S ROZRYWKI

MÓWIONA FOTOGRAFIA — LUDZIE SĄ ZADOWOLENI? — CO MAJĄ ROBIĆ WYDZIAŁY KULTURY — CIEKAWY OPINIE — HURRA OPTYMIZM — DOBRA RADA „NIE OGLĄDAC” — DWIE PRAWDY.

Tadeusz Breza napisał kiedyś, że wywiad jest rodzajem mówionej fotografii, bowiem w trakcie wywiadu, tak jak u fotografa każdy trochę pozuje. Ale — dodam od siebie — nawet najbardziej wyszukaną poza nie zmieni kształtu twarzy ani nie zmieni prawdziwego wnętrza „modelu”.

Niedawno na przykład czytałem wywiad z byłym mistrzem Europy znanym z megalomanii i zarozumiałstwa. W tym wywiadzie — tak jak na fotografii — Mistrz był najprawdziwszym. Lekceważąco mówił o kolegach, twierdził też, że dzisiejsze wyniki są niezgodne z wynikami osiągniętymi przez niego.

Ciekawy pod tym wzglę-

dem jest również wywiad na temat telewizyjnej rozrywki przeprowadzonej na łamach „Pomorza” z Andrzejem („Zgaduj-Zgadula”) Rokitą. Pan Rokita jest Zastępcą Naczelnego Redaktora Naczelnej Redakcji d/s Rozrywki. Nic nie poradzę — tak to się nazywa.

Z rozrywką w telewizji jest jak wiadomo nie najlepiej. Wiedzą o tym telewidzowie, piszą o tym publicyści. A co wie na ten temat zastępca szefa?

Zastępca szefa jest rozbrajający. „Nasza rozrywka nie jest gorsza od francuskiej i włoskiej tylko po prostu technika jest słabsza”. Zastępca Szefa twierdzi, że gdyby wysondował

opinie szerszych kręgów odbiorców to... okazałoby się, że ludzie są zadowoleni. Żeby jednak nie rozwinąć tych złudzeń sondy się nie przeprowadza i Zastępca Szefa jest pełen optymizmu.

Nie narzeka również na brak szampańskich pomysłów. Uważa mianowicie, że szkoleniem piosenkarzy dla TV i Radia... powinni się zająć Wydziały Kultury. Trochę to dziwne, bo jednocześnie Zastępca Szefa stwierdza, że Maria Wawrzynska (laureatka festiwalu w Zielonej Górze i Opolu) „zostanie nauczycielką albo będzie chałturzyły po małym teatrze... Dlaczego sprawdzona piosenkarzka nie interesuje Naczelnej Redakcji d/s Rozrywki? Czego spodziewa się Zastępca Szefa po szkółkach wydziałów kultury jeśli Wawrzynską uważa za nie dość przygotowaną do telewizji? A jednocześnie trafiają przed kamery młodzi ludzie, co do przygotowania których mają wątpliwości najpoważniejsi krytycy.

Zastępca Szefa jest jednak — jak się rzekło — optymistą. Uważa, że wszystko gra, że nie ustępujemy zagranicy, że autorów

mamy zdolnych czego dowodem... Festiwal w Opolu. „Wszystko się bezwarunkowo piosenki — przestrzega p. Rokita. Opołe się od nich wybroniło i jest to generalny sukces tegorocznego festiwalu”.

Ciekawa opinia. Jeżeli za generalny sukces można uznać nieobecność bezwarunkowej szmiry — to właściwie telewizyjne dokonania w dziedzinie rozrywki są pasmem samych sukcesów. Zdecydowanej szmiry wszak w niej nie ma, choć nieraz bywa nudno i sztampowo. Teraz już rozumie optymizm jaki promieniuje z wypowiedzi Zastępcy Szefa. Stosując takie minimalistyczne kryteria można rzeczywiście dostać zawrotu głowy od sukcesów.

Na początku wywiadu Zastępca Szefa stwierdza, że nasza rozrywka nie jest gorsza od zagranicznej — na końcu zaś mówi, że rozrywkowe programy zagranicy — „nie takie znow lepsze od naszych”. Żeby nie było nic na głowę TV zakupiła rewiewe filmy włoskie abyśmy mogli porównać. Niestety, porównania nie wychodzą naszym programom na zdrowie. Ale może nie mam racji, może tu potrzebna

„sonda szerszych kręgów odbiorców”?

Optymistyczny wywiad z Zastępcą Naczelnego Redaktora Naczelnej Redakcji d/s Rozrywki nie nasraja optymistycznie. Jeżeli w Naczelnej Redakcji panuje takie samozadowolenie to rzeczywiście trudno oczekiwać czegoś interesującego. Pan Rokita ma zresztą jeszcze jedną dobrą radę — nie oglądać „Cata bleda w tym, że nasz program jest oglądany” — stwierdza z estradowym wdziękiem, i zaraz dowodzi — Program PR dla zagranicy? — Podobno znakomity — nikt go bowiem nie słucha. Program III PR? — Podobno znakomity — nikt go bowiem nie słucha... A nas oglądają i krytykują! Brzydala!

Nie wiem czy Zastępca Szefa odkrył, że w fakcie, iż „oglądają i krytykują” tkwią dwie wielkie prawdy. Pierwsza to zapotrzebowanie społeczne na rozrywkę telewizyjną — druga to owa rozrywka niemrawość i nuda. Myślę, że te dwie prawdy warto odkryć w Naczelnej Redakcji d/s Rozrywki TV, by zburzyć nieco hurra optymizmu Zastępcy Szefa.

JERZY WIDOK

NIESPODZIANKA

Kobieta, która szła przez parking szybkim krokiem, miała na sobie suknie, o której się mówi „kreacja”. Otworzyła drzwi czarnego samochodu i wsunęła się z kierownicę.

Wtem jakiś mężczyzna chudy i bladej, w zaniedbanym stroju wsiadł z drugiej strony i zajął miejsce obok kobiety.

Spojrzała na niego. — Zawsze wierny Tom, wiedziałam, że przyjdiesz — szepnęła.

Zapukała motor. O tej porze sklepy już pozamykano, tylko jeden lokal był otwarty. Fasada błyszczała neonami, na tie których odznaczała się olbrzymia fotografia pięknej blondynki.

— „Crystal Coe i jej sentymentalne piosenki” — przeczytał głośno Tom, gdy przejeżdżali obok lokalu. — Stała się sławna!

— Czy to z powodu moich sukcesów chciałaś mnie zobaczyć?

— No więc dobrze, opowiedziałam historię mojego życia — wybuchła Crystal.

— Jeszcze nie wszystko. Za pominięciem kilku ważnych szczegółów, może ja mogłabym dostarczyć dalszego ciągu pt.: „Ukryta miłość Crystal Coe”, albo jeszcze lepiej: „Tajemniczy małżonek”? Pamiętaj, nawet gdy się zniszczy nie wiem ile kartek, zawsze może pozostać jeszcze jakiś dowód zapominanej przeszłości...

Crystal milczała...

— Złajesz sobie teraz wygodnie, piękny samochód, fantastyczne stroje. Nie tak było w tamtych latach.

— Nie potrzeba, żebyś mi je przypominał.

— Wiem, wiem, zbyt wiele jest faktów, które chciałabyś zapomnieć. Ten brudny dom, w którym mieszkałaś, śmietnik, koty na schodach. Ten lokal o statnej kategorii, gdzie cię poznałem, gdy szukałaś kogoś, kto by ci zafundował coś do picia... Umiałaś rozmawiać z mężczyznami... Mieliszmy piękne momenty w tych dawnych czasach. Ale były też zię, gdy wracałem po pracy w kinie i

nie zastawałem cię w domu. Wychodziłem znów na ulicę i znajdowałem ciebie tam, gdzieś przy drodze. Miałas to we krwi... Całe życie... Lecz ja zawsze usiłowałem cię tłumaczyć, nawet wówczas, gdy skradłaś pieniądze. Potępiłem siebie, że jestem tylko nędznym mechanikiem, że nie mogłem ci dać tego, czego potrzebujesz.

Nagle wybuchnął śmiechem ostrym, bez radości. — Czy pamiętasz, jak lubiłem przebywać w naszej piwnicy, gdzie trzymałem różne narzędzia i próbowałem coś zmalstrować wełąż marząc, że dokonam wynalazku i stanęmy się bogaci? A potem w więzieniu twój legalny mąż Tom, trzymając usta zamknięte przez wszystkie te lata, kontynuował poszukiwania. Nie dziw się, są możliwości w więzieniu, jeżeli zachowujesz się dobrze. Możesz być dumna ze swego męża, moja kochana!

— Muszę kupić benzynę — przerwała kobieta. — Zbiornik jest prawie pusty.

— A potem? Nie zapominaj, że mimo wszystko jestem zawsze twoim mężem.

— Nie będzie teraz nikogo w naszym domu na plaży. Pojeździemy tam.

A więc tak po prostu, bez sprzeciwu, bez dyskusji!

Przejechał jeszcze kilka kilometrów a potem zobaczył światła stacji benzynowej. Gdy auto zatrzymało się, Tom znów wybuchnął śmiechem. Słisał się jeszcze jak szalony, gdy pracownik stacji wsunął głowę przez okienko.

— Pełno — rozkazała Crystal. Potem odwróciła się do swego towarzysza i spostrzegła, że trzymał rękę na klamce drzwi.

— Dokąd chcesz iść?

— To moja sprawa. Tu jest punkt, gdzie nasze drogi rozchodzą się.

Kobieta zmarszczyła brwi: — Nie rozumiem...

— Na pewno nie rozumiesz! Ponieważ żaden mężczyzna nie odwrócił się od ciebie nigdy, prawda? Każdy skorzystałby z tak poehlebnego zaproszenia. Byłem idiotą, że mężczyźni się przez siedem lat, ponieważ cię kochałem. Zobaczyłem cię wczoraj wieczorem w tym lokalu, gdzie śpiewasz. Zobaczyłem kobietę, dla której przeszedłem przez piekło. Nic innego, jak półnaga aktoreczka. Nie czekałem aż skończysz numer, wróciłem do hotelu i napisałem ten list, żebyś wiedziała, że wyszedłem i że teraz ty musisz się dręczyć. Jestem już wyleczony, nie chcę twoich brudnych pieniędzy, nie chcę ciebie!

Zdziwienie, wściekłość odmawiały się na twarzy Crystal.

— Poczekaj, nie wysiadaj tutaj! Wtem pojawił się pracownik

stacji. — Załatwione, proszę pani.

Crystal zaczęła szybko pisać na kuponie, następnie podała blocek pracownikowi. — Niech pan wypełni to dokładnie, ja zawsze zapominam numeru mojego prawa jazdy.

Tom zajrzał do schowka, leżał tam mały rewolwer.

— Weź go sobie, jest twój — rzekła kobieta.

Tom wziął go do ręki i obejrzał. — Tak długo go przechowujesz — zdziwił się. — Mnie jest niepotrzebny.

Crystal włożyła rewolwer do swej torebki.

Młodzieniec z dystrybucji pokazał się w okienku. — Proszę, oto pani blocek.

— Czy pan wziął numer?

— Zrobiłem wszystko, proszę pani.

— Czy droga na Sunset jest otwarta? — zapytała. — W zeszłym tygodniu była zamknięta dla ruchu.

— Tak — rzekł młodzieniec — zakończyli już roboty.

— Dobrze, więc pojedę na Sunset. — Zapukała motor.

Usmlechała się teraz. — Powiedziałeś dzisiaj, że jest zawsze jakaś rzecz, która gdzieś pozostała i może posłużyć za dowód naszego małżeństwa. Na szczęście jesteś jedyną osobą na świecie, której mogłoby przyjść na myśl szukanie tych dowodów.

— Na szczęście? Posłuchaj mnie, powiedziała ci już, że nie chcę niczego od ciebie i nie pragnę niszczyc twej „karriery”. Chciałbym wysiąść na pierwszym przystanku autobusowym, który znajdziemy.

— Nie ma autobusu o tej porze.

— To pójdę pieszo.

— Nie potrzeba, zawiozę cię, gdzie chcesz! — krzyknęła z wściekłością zwiększając szybkość jazdy.

— Co ci się stało?

Nagle pojawiły się za nimi olbrzymie reflektory samochodu, czerwone światło rzuciło sygnał alarmu.

— Policja! — zanepokoił się Tom. — Co to znaczy? Dlaczego tak pedzisz?

— Muszę zwiększyć odległość, bo „on” mi tak każe.

— On? Kto to jest?

Crystal roześmiała się triumfująco. — Ten człowiek, który mierzy do mnie z rewolweru. Człowiek, który na parking wleźnął się do mego auta. Cheesz wiedzieć, co napisałam na talonie benzynowym? „Ten mężczyzna chce mnie zabić, telefonujcie do policji!” Teraz rozumiesz, co się stanie?

— Oszalałaś! Chciałem odejść, nigdy bym cię nie szukał!

— Nie wierzę, Szantażowałbyś mnie aż do ostatniego centa.

— Ależ ja nie potrzebuję twych pieniędzy, nie rozumiesz... Wyjaśnij ci to kiedys. Mężczyzna schwył się za klam-



Lewym okiem

BEMOLE MOŻNA POLICZYĆ

Rzadko komu z wielkich ludzi, z postaci wielbionych i czczonych przez wieki, udaje się po śmierci przyjąć swobodną, siedzącą pozycję. Nie mówię o leżące, bo w takiej pozycji nie przyjmują się kwiatów i wieńców. Ale żeby choć usiąść, swobodnie, jak u siebie w domu, jak przy pracy, przy gościach, przy odpoczynku. Nie szukając za długo — bo pewnie bym znalazł, szukając — na raz dwa trzy z pamięci: siedzi na pomniku warszawski Kopernik i warszawski Szopen, siedzi ładnie inowrocławski Kasprzowicz. Natomiast tych, co stoją, mógłbym bez namysłu tużynami.

Różnie sobie tłumaczyliśmy tę powszechność postawy stojącej w rzeźbie. Człowiek stojący góruje nad tłumem, zwłaszcza jak go się postawi na cokole. Patrzą nad głowami świata hen w dal i widzi tam, o ileż więcej, niż my: jest przewodnikiem, wodzem, przykładem — wódz musi być większy, musi być niezmordowany, musi iść, dążyć, prowadzić, kroczyć.

Niewykluczone też, myśleliśmy, że łatwiej jest obrócić kamień na wydłużoną stojącą postać, niż uda-

wać się w faldy i faldki szaty kogoś, kto siedzi, drapać je drobiazgowo, sytuować prawdziwie a ładnie nogi, kolana, plecy, ręce.

Ale okazuje się, że od niedawna zaczął się liczyć — i to kto wie, czy nie w stopniu decydującym — jeszcze jeden powód. Zdradził nam Ernest Skalski w „Kulturze”, że według cennika z 1951 roku honorarium rzeźbiarza zależy od... wysokości rzeźby, liczonej po prostu w centymetrach. Siedzący Kopernik jest mniej wart, niż stojący król Jagiello. Jeszcze droższy oczywiście Kiliński z szablą wysoko nad głową, albo Statua Wolności z wielopiętrowym zniczem aż pod chmury. Wielkość głowy gra mniejszą rolę, ale zawsze: jeśli nie większa od naturalnej podwójnej, to cztery i pół tysiąca, jeśli większa — od razu piętnaście!

Oto do jakich szczytów doprowadziła paniczna twoga przed kryterium kwalitacyjnym, jakościowym, niemierzalnym. Wszystko musi być zamienione na centymetry, gramy, sekundy — inaczej kontrola nie mogłaby sprawdzić, czy ktoś nie zarobił za dużo. To jest reszta tendencja nieunikniona, jeżeli się z góry założy, że kwestionować można i należy każdą decyzję każdego obywatela i że tylko dokument jednoznaczny dla wszystkich — od buchaltera przez siedemset komisji po prokuratora — może stanowić obronę słuszności każdej decyzji. Takim dokumentem jest tylko papier w kratki, w które wpisuje się liczby. Liczba z liczbą musi dać liczbę. Ilość centymetrów przez cenę centymetra da wartość pracy rzeźbiarza. Innej wartości tej pracy nie bierzemy pod uwagę.

W odniesieniu do pomników to jest jeszcze dość proste, urzeźbieć można je mierzyć, ważyć, to wzięty, to na objętość, to na obwód w biuście. Ale na przy-

kład powierza się pracownikowi opracowanie jakiegokolwiek szczególnego tematu, przygotowanie instrukcji, analizy, recenzji itp. Chodzi, rzecz jasna, o słynną pracę zleconą. Raz będzie to zestawienie liczb, wymagające gruntownej znajomości tabliczki mnożenia i pewnej uwagi przy przepisywaniu, kiedy indziej bardzo trudne, pionierskie opracowanie, wymagające wielkiej wiedzy, erudycji, doświadczenia. Jak zapłacić autorowi, żeby dla kontroli pozostał niepodważalny dokument słuszności zapłaconej ceny?

Jasne: bierze się pensję miesięczną autora, dzieli przez dwieście, bo tyle jest godzin pracy w miesiącu i otrzymuje cenę jednej godziny pracy tegoż autora. Potem tę cenę mnoży się przez ilość godzin, strawionych na odnośną pracę przez odnośnego delikwenta. I jest wartość pracy. I jest powszechne, masowe, przymusowe, oczywiste i uświęcone praktyką igrastwo: najpierw się przecięź trzeba umówić z autorem co do ceny za całość, bez takiej umowy on nie zechce podjąć pracy, a potem oblicza się, ile to powinno być godzin. Inaczej przecięź nie można, bo inżynier zatrudniony w resorcie za tę samą pracę zleconą otrzymałby trzy razy więcej, niż inżynier z zakładu, pobierający niższą stałą pensję. Bo inaczej Einstein za swą trzyliterową sentencję musiałby otrzymać ćwierć feniga, a za instrukcję o wypełnianiu kвітun jakiegokolwiek tam, trzeba by policzyć tysiące. Więc zmyśla się ilość godzin i dopiero to zmyślenie jest balsamem na sumienie buchalterów.

Może by tak za utwory muzyczne płacić za ćwierćnutki? Za półnutę podwójnie, za bemol piętnaście procent? Mniejsza o ilość taktów i nawet o melodię. Bemole można policzyć!

CWIEK